

# *Koty*

Przełożył  
Marian Grzegorz Woźniak

Tytuł oryginalu

A SEASON IN THE HIGHLNADS

KOTY Copyright © 2000 by Gerilyn Dawson

# 1

*Szkockie góry, 1886*

Rand Jenkins zgubił drogę. Zabłądził!

Mroźny wiatr hulał po zbiegających wrzosowiskach. Targane wichrem tumany śniegu płały wysoko aż po końską grzywę. Lodowate powietrze wyciskało z oczu łzy, mróz siekł wargi, a Rand Jenkins zgubił drogę, zabłądził, przemarzył do kości i w ogóle czuł się fatalnie.

Co gorsza, nie jechał sam, miał towarzystwo, a przez to cierpiał jeszcze bardziej.

- I co? Zabłądziliśmy! - odezwała się uszczypliwie Sara Ross, małżonka markiza Weston.

Rand tylko zaklął pod nosem. Gdyby nie ona, siedziałby teraz u siebie w San Antonio na ganku, racząc się chłodną herbata, a tak od rana trząsł tyłkiem po wyśnieżonych bezdrożach szkockich gór. Aż śmieszne, jak temperatura zmienia człowieka. Gdy w sierpniu, oddając przysługę przyjacielowi, zgodził się odwiedzić damę do Szkocji, do małżonka, który zostawił ją w Teksasie, wyprawa w mniej upalne regiony świata wydawała mu się całkiem doręczna. Ale pięć miesięcy później i tysiące mil dalej, czyli tu i teraz, pluł sobie w brodę, marząc o gorącym teksaskim lecie.

- Powinniśmy już być w zamku Rowanclere - rzuciła znów złośliwie Sara Ross. - Mówiłam, żeby się zatrzymać i spytać o drogę, choćby w tym ostatnim przysiółku, a teraz zabłądziliśmy.

- Jeszcze nie - zaprotestował Rand, zaciskając zęby, żeby nie wybuchnąć. - Założę się, że zamek jest zaraz za zakrętem. Dobry Boże, spraw, żeby tak było.

- Już to słyszałam godzinę temu, a zamku jak nie było, tak nie ma. - Za każdym słowem z ust Sary unosił się kłęb pary i rozwiewał w mroźnym powietrzu jak dymny sygnał. - Zabłądziliśmy, a mróz coraz większy. Brakuje tylko zawiei. Wdowa Norris, moja przyzwoitka, nawet nie wie, jakie miała szczęście, że dostała rano gorączki i nie jedzie z nami. Leży sobie w ciepłe, w gospodzie, podczas gdy my marzniemy, nie wiadomo gdzie.

Rand ze złości zrobił zeza. Wszystko się w nim gotowało na to ciągłe gadanie.

Od samego początku, gdy tylko wyruszyli z Teksasu, Sara działała mu na nerwy i gonił już resztką cierpliwości. Ale starał się być wyrozumiały. Wiedział, że ona też żyje nerwami i tylko nadrabia miną. I nic dziwnego, skoro miała stanąć twarzą w twarz z małżonkiem, którego nie widziała od dziesięciu lat. Ale fakt pozostaje faktem, że ciągłe narzekania, uszczypliwości i strofowania wychodziły już Randowi uszami i niczego bardziej nie pragnął, jak dotrzeć wreszcie do tego cholernego zamku, obudzić cholernego markiza, oddać mu cholerną małżonkę i wracać do siebie, do domu.

Tylko że najpierw trzeba znaleźć ten cholerny zamek.

Dygocąc z zimna, ogarnął wzrokiem okolicę. W oddali unosiła się wąska stróżka dymu.

- O tam, prosto przed nami! - zawołał.

Sara wstrzymała wierzchowca i też spojrzała uważnie.

- To nie zamek, ale chata - orzekła po chwili. - Zamiesz-

kana, na szczęście. I czy ci się podoba, czy nie, jedziemy tam i pytamy o drogę. - Nie czekając na odpowiedź, markiza Weston pokłusowała z boczem ku chacie, przysiadłej u stóp białego od śniegu wzgórza.

Rand westchnął ciężko i ruszył jej śladem. Nim dojechał, lady Sara zdążyła już zsiąść z konia i podejść do drzwi.

- Stój! - zawołał. - Kobiecie nie wypada pukać do obcego domu, nie mówiąc o tym, że może to być niebezpieczne. Ja to zrobię.

- Mówiono mi, że ludzie tu gościnni - prychnęła w odpowiedzi Sara. - A poza tym - dodała złośliwie - bardziej niebezpieczne jest błądzić na mrozie i w zawiei.

- Jeszcze nie zabłądziliśmy, a poza tym nie pada - Rand skrzywił się zabawnie, bo akurat płatek śniegu wylądował mu na nosie - tylko pruszy.

- Właśnie! Skoro pruszy, to zaraz będzie zawieja.

Jeśli mąż nie obetnie jej kiedyś tego jęzora, to będzie świętym człowiekiem. Nikt normalny z nią nie wytrzyma.

Wiatr zatańczył i ze strzechy sypnęło śniegiem, srebrząc oboje wędrowców. Drzwi uchyliły się z piskiem.

- Tak? - rozległo się pytanie wypowiedziane śpiewnym głosem. - W czym mogę pomóc?

Randa zamurowało. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Czuł tylko, jak żądza rozpala mu ciało do białości, a śnieg na ramionach i plecach paruje jak pod ogniem.

Nie odrywał oczu od kobiety mówiącej dźwięcznym głosem. Takiej figury i twarzy pozadrościłaby jej każda piękność z saloonu. Krucze jak bezksiężycowa noc włosy spływały do ramion. Pokraśniałe od mrozu policzki podkreślały tylko alabastrową cerę. A oczy... Rand przełknął ślinę. Ach, te oczy! Czyste jak kryształ, zielone jak wiosna, czarowne jak najgłębsza tajemnica i okolone najdłuższymi, najwspanialszymi rzęsami, jakie w życiu widział.

W takich oczach można się tylko zatracić.

Ale niżej czekała jeszcze wystawniejsza uczta dla oczu - piersi pełne jak dojrzały owoc, kibić wąska niczym ścieżka nad przepaścią i krągłe biodra pod suknią ze zgrzebnej wełny. Nigdy, ale to nigdy żadna kobieta nie wywarła na nim takiego wrażenia. Aż oniemiał.

Ocknął się, gdy Sara dała mu sówkę w bok.

- Przepraszamy, że panią niepokoiimy - usłyszał jej głos - ale zabłądziliśmy. Czy dojedziemy tędy do Rowanclere?

- Nie - odparło zjawisko z zyczliwym uśmiechem. - To droga do Laichmoray. Skręt do Rowanclere jest tam, skąd przyjechaliście. Dziesięć minut jazdy stąd. Musicie zawrócić.

Sara zatriumfowała, ale nim zdążyła otworzyć usta, aby uświęcić zwycięstwo nowym potokiem słów, Rand klepnął ją przyjaźnie po ramieniu.

- A mówiłem, że trzeba było się zatrzymać i spytać o drogę ~ rzekł spokojnie.

Zatkało ją. Zaczęła chrząkać ze złości, ale znów nie dane jej było wyrazić oburzenia słowami.

- Biedactwa - zadźwięczało zjawisko. - Taki mróz, a wy w drodze. - Uchyliła szerzej drzwi. - Wejdźcie, wejdźcie, ogrzejcie się przy ogniu. Jestem Annie Munro - przedstawiła się. - Witajcie w moich niskich progach.

- Wielkie dzięki, pani - odwzajemnił uprzejmość Rand, popychając Sarę do środka. - Nazywam się Rand Jenkins, a to lady Weston. Jedziemy do jej męża, lorda na zamku Rowanclere.

- Weston? A więc pani jest tą jego amerykańską małżonką?

- Owszem - odparła Sara. - Kiedy braliśmy ślub - westchnęła - nazywał się zwyczajnie, Nicholas Ross, i dla mnie tytuł, który odziedziczył, niczego nie zmienia.

Annie Munro zrewanżowała się ciepłym uśmiechem, wyciągając ręce do powitania.

- A ja znam Nicka od dziecka. Nawet pani nie wie, lady Weston, co to był za psotnik, ale wyrósł na pięknego mężczyznę. Miło mi panią poznać.

- Tylko proszę mi mówić po imieniu. Tytuły mnie peszą.

Zawsze gdy padało nazwisko markiza Weston, cera Sary przybierała zielonkowy odcień. Teraz też, co Rand odnotował w pamięci. Zauważył już, że im bliżej są celu podróży, tym zieleń na obliczu Sary staje się intensywniejsza. I współczuł jej, mimo jęczora pełnego jadu. A teraz chciał nawet podejść i potargać po włosach na pocieszenie, jak zwykł czynić to w domu wobec młodszej siostry.

- Skoro sobie życzysz... - zaszczębiotała Annie. - Ale pod warunkiem, że i ty do mnie będziesz mówić po imieniu.

Podczas gdy Sara z gospodynią wymieniały uprzejmości, Rand rozglądał się ciekawie po skromnej, jednoizbowej ledwie, ale przytulnej chacie. Długi stół dzielił izbę na dwie części, z których jedna wyglądała na roboczą. Na półkach wzdłuż ścian stały równym szeregiem niezliczone koszyki i dzbany. Z powały zwisały pęki suszonych ziół, a na stole pysznił się moździerz z tłuczkiem, leżały noże i stało całe mnóstwo garnków oraz rondli. Nad wszystkim unosiła się miła woń cynamonu. Ciekawe - pomyślał.

Jeszcze ciekawiej jawiła się druga, mieszkalna część domu. Przede wszystkim dlatego - i to właśnie zainteresowało go najbardziej - że nigdzie nie widać było śladu mężczyzny.

- Ma pani miły dom, pani Munro. - Specjalnie zaakcentowała słowo „pani”. - Dziękuję, że zaprosiła nas pani do środka. Pochodzę z Teksasu i jestem nienawykły do zimy. Strasznie marzną. Zmarzłem tak, że nóg nie czuję.

Gospodyni odpowiedziała uśmiechem i Randa znów urzekł melodyjny i dźwięczny jak srebro głos. Potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić natrętą myśl. Co się dzieje? Nigdy żadna kobieta tak na niego nie działała. To chyba z mrozu.

- Panno - usłyszał wypowiedziane z wdziękiem sprostowanie. - Proszę, usiądźcie przy ogniu, rozgrzejcie się. I wybaczcie śmiałość, ale radzę zdjąć trzewiki i pończochy, bo pewnie przemokły. Powiesimy, żeby wyschły.

Rand przygryzł wargi, marząc w duchu, że bogini, która oto mu się objawia, poleca mu zdjąć nie tylko trzewiki, ale wszystko.

A tymczasem gospodyni umościła miejsca przy ogniu i spytała, czego się napiją. Sara poprosiła o herbatę, Rand z radością przystał na propozycję czegoś mocniejszego. Gdy gospodyni zajęła się imbrykiem, Rand z Sarą zżuli obuwie i wystawili nogi do ognia. Rychło poczuli zbawcze ciepło, gdy przemarznięte członki zaczęły tajać.

- Panno Munro jest pani aniołem! - zawołał Rand z wdzięcznością.

- Aniołem? - W oczach kobiety załśniły figlarne błyski. - Wręcz przeciwnie, mój panie, wręcz przeciwnie! Jestem czarownicą.

Ze zdumienia oczy Randa zrobiły się jak spodki, Sara też spojrzała na gospodynię, zaintrygowana tym oświadczeniem.

Rany boskie, czemu nie ugryzłam się w język - pomyślała Annie.

- Żartuję, oczywiście. Ludzie ze wsi tak mnie czasami przezywają - dodała spiesznie, układając usta w udawanym uśmiechu.

-- A szkoda. - Sara westchnęła. - Wolałabym, aby to była prawda, poprosiłabym o zaklęcie. Jest paru takich, których chętnie przemieniłabym w... ropuchy. - Spojrzała znacząco na Jenkinsa. - Nabraliby wreszcie wyglądu zgodnego z charakterem.

- Na szczęście - wszedł jej w słowo Rand - czarownice nie istnieją.

- A więc nie wierzy pan w czarownice? - wtrąciła Annie, słuchając z rosnącym zainteresowaniem tej wymiany zdań.

- Nie.

- Ani w duchy?

- To tylko twory ludzkiej wyobraźni.

Sara podsunęła stopy do ognia i energicznie pokręciła głową.

- Chyba się mylisz, Rand, bo jak inaczej wytłumaczyć, że we wszystkich historycznych kulturach mamy do czynienia z wiarą w zjawiska nadprzyrodzone?

- To proste. - Założył nogę na nogę i skrzyżował ręce na piersiach, gestem człowieka absolutnie pewnego swoich racji. - Ludzie odwołują się do duchów i czarów, aby wytłumaczyć sobie sprawy i zjawiska, których nie potrafią jeszcze racjonalnie wyjaśnić. Im bardziej zaawansowane cywilizacyjnie społeczeństwo, tym bardziej sceptycznie odnosi się do opowieści o szamanach i czarownikach. Twierdzą, że rozwój nauk sprawi, iż w przyszłości nikt nie będzie wierzył w tego typu bzdury.

Sara prychnęła z pogardą i spojrzała z nadzieją na Annie.

- Jedno małe zaklęcie - poprosiła. - Żaba w kowbojskim kapeluszu. Co to byłoby za widok!

Zabrzmiało to tak komicznie, że gospodyni roześmiała się w głos, zwłaszcza że Rand, przedrzeźniając Sarę, udał, że uchyla przed nią kapelusza.

- Szanuję pańskie zdanie, panie Jenkins, ale niech mi pan wierzy, że tu u nas, w górach, znajdzie pan niewielu zwolenników. Tu wiara w moc nadprzyrodzoną ma głębokie korzenie. Osobiście nigdy nie zetknęłam się z żadną czarownicą, nie widziałam ani zjaw, ani duchów, ani topielców, ale wierzę, że takie istoty mogą istnieć. A co pan sądzi, na przykład, o przeznaczeniu albo o szczęściu? Bo, widzi pan, my tu, w górach, jesteśmy raczej przesądni. Przywiązujemy wielką wagę do tradycji i obyczajów.

- No cóż, wierzę w coś takiego jak szczęście. Albo się ma

szczęście, albo pecha. Widziałem w życiu i jedno, i drugie. Przesądny raczej nie jestem, a co do tradycyjnych obyczajów, to uważam, że spełniają one ważną rolę w życiu rodzinnym i w życiu kraju.

- Jak choćby Boże Narodzenie. - Sara westchnęła. - Obawiam się jednak, że nam przyjdzie spędzić święta w drodze. Miałam nadzieję, że zdążymy dojeżdżać do Rowanclere na czas, ale to się już chyba nie uda. Mimo wszystko mogę zaświadczyć, że Rand jest człowiekiem tradycji. - Gestem wskazała zgrabny szylkretowy grzebyk wpięty we włosy. - Dostałam to od niego na Boże Narodzenie.

- Bardzo ładny - przytaknęła Annie, podając Sarze dymiący kubek herbaty.

- Niczego innego nie mogłem znaleźć w całym Inverness - wtrącił Rand. - Szczerze mówiąc, chciałem kupić knebel, ale akurat nie mieli.

Uwaga rozbawiła Sarę, lecz nie byłaby sobą, gdyby nie zrewanżowała się za złośliwość. Stłumiła uśmiech i pokazała mu język.

- Ropucha, nie dość, że w kapeluszu, to jeszcze gada z teksaskim akcentem! - zawołała.

Annie zaśmiała się. Sięgała właśnie po whisky, aby nalać szklaneczkę Jenkinsowi, gdy przypomniała sobie, że ma przecież coś specjalnego. Zgodnie z rodzinnym obyczajem, trzy dni przed świętami przyrządziła napitek z miodu, śmietanki, whisky i odrobiny suszonego żarnowca dla aromatu. Athole Brose - bo tak to się nazywa - był zawsze ozdobą stołu, gdy rodzina zasiadała do świątecznej kolacji. W tym roku wszakże, po śmierci mamy, została na święta sama, a przybysze z Ameryki będą zapewne jedynymi gośćmi, jakich dane jej będzie podejmować. Nadarzyła się więc wspaniała okazja, aby tradycji uczynić zadość. Otworzyła butelkę i nalała Randowi solidną szklanekę.

- A więc mieszka pan w południowym Teksasie? Niech mi pan opowie, jak tam jest. Usłyszałam co nieco od Jake'a Delaneya i jestem strasznie ciekawa pańskiego kraju. Marzę, żeby tam kiedyś pojechać. - Usiadła obok gości przy kominku.

Na dworze szalał wiatr, a Annie słuchała opowieści o dalekim kraju, o kowbojach i koniokradach, o grzechotnikach, tarantulach i skorpionach. O tym opowiadał Rand Jenkins, podczas gdy Sara snuła wspomnienia o życiu towarzyskim, małżeństwach i wielkich weselach, które urządzała, bo tym właśnie zajmowała się zawodowo, mieszkając w Ameryce.

Gdy Annie słuchała, marząc o kraju, w którym liczy się charakter człowieka, a nie tytuły przodków, jej kotka - czarna jak noc Półnoka - wychynęła z koszyka z przyborami krawieckimi, gdzie zwykle drzemała w ciągu dnia, i zaczęła się kręcić wokół nóg Jenkinsa.

- I będzie pan wracał do San Antonio? - spytała Annie, gdy gość skończył swoją opowieść.

W tej samej chwili Półnoka skoczyła mu na kolana. Rand kichnął potężnie i natychmiast zepchnął kotkę na podłogę.

- Oczywiście - odparł. - Pobędę u państwa Delaneyów nie dłużej niż tydzień i zaraz ruszam do domu. Mam nadzieję, że pogoda będzie mi sprzyjać. Nie przepadam za podróżowaniem w śniegu i zawiei.

Rozmowa zeszała najpierw na szkocką pogodę, a następnie na zamek Rowanclere i jego mieszkańców. Przegryzając biskopt, którym Annie uczęstowała gości, Sara zwierzyła się, że od dłuższego czasu żyje z mężem w separacji. Rand zdążył już wysuszyć szklanekę, więc gospodyni wstała, aby ją ponownie napełnić, a przy okazji skarciła kotkę, która nie dawała Jenkinsowi spokoju. I w tej to chwili rozległo się pukanie do drzwi. Annie stropiła się, widząc na progu Maggie MacGregor. Była to jej najlepsza klientka, więc nie mogła jej odprawić z kwitkiem.

- Annie, mój Jamie zaczyna się migać od małżeństwa. Potrzebuję więc trochę tego napitku, co to mi go już raz dałaś... no wiesz, na miłowanie.

- Ciszej, Maggie, mam gości.

- Och... - Klientka zarumieniła się, niezadowolona, że ktoś niepowołany mógł poznać jej sekret. - Przepraszam, nie wiedziałam... Witam, witam państwa... a więc Annie, czy mogłabym dostać coś... coś na kaszel - powiedziała głośno, aby usłyszano ją również przy kominku. - Bo wiesz - zaczęła tłumaczyć - wczoraj zatkał się nam komin, zadymiło całą izbę i mama dostała straszego kaszlu, a już była niezdrowa...

- Biedna mama, ma takie delikatne płuca, ale na szczęście dziś rano naparzyłam, co trzeba, i zaraz ci to dam.

Udając, że nie chodzi o nic nadzwyczajnego, Annie odmierzyła dwie porcje dwóch różnych mikstur, które trzymała na półce, wręczyła klientce i przyjęła w zamian stosowną opłatę.

- Zaczyna się przejaśniać - wróciła do poprzedniego tematu, gdy tylko Maggie zniknęła za progiem. - Przy odrobinie szczęścia dotrzecie do Rowanclere bez kłopotów.

Rand wstał i z zaciekawieniem obejrzał butle i pojemniki stojące na półce.

Ależ on ma wielkie ręce - zauważyła Annie, gdy sięgnął po któryś z flakonów.

- A więc jest pani uzdrowicielką? - upewnił się, czytając napis na buteleczce.

- Coś w tym rodzaju. Znam się trochę na ziołach. Nauczyłam się od mamy, a ona od swojej matki. Wiedzę o ziołach pielęgnujemy w rodzinie od wielu pokoleń. Dziś co prawda nadal zagląda do mnie po leki na takie zwykłe dolegliwości.

- Jak na kaszel? - ni to stwierdził, ni spytał Rand.

- Albo na miłowanie - dodała Sara z uśmiechem. - To wspaniała sprawa. A mogłabyś i mnie dać coś dla męża? Nie

chodzi mi o to, aby mnie zaczął miłować, bo na to nie liczę, ale żeby przynajmniej na mnie nie krzyczał.

- Nie bądź śmieszna! - fuknął Rand.

- Uważasz, że Nicholas nie będzie na mnie wrzeszczał?

- Uważam, że nie istnieje nic takiego jak czarodziejski napitek. To tylko głupie przesady, a panna Munro nie jest czarownicą, tylko zielarką. Zna się na ziołach, i tyle. Dobrze mówię, panno Munro?

- Absolutnie. Tylko złośliwcy nazywają mnie czarownicą i tylko z powodu pewnych wydarzeń sprzed... dwustu lat.

- Ale przecież dałaś tej kobiecie... - Sara upierała się przy swoim.

- Dość tego! - zagrmiał Rand. - Wkładaj buty, trzeba jechać, póki się przejaśnia. - Dając dobry przykład, sam zaczął wciągać skarpety i trzewiki.

- Ależ, Rand... - Sara jeszcze nie kapitulowała. - Na Boga, co z twoimi oczami?! - wykrzyknęła szczerze zaniepokojona.

Annie spojrzała na niego. Rzeczywiście, Rand miał oczy czerwone jak tradycyjne kolory klanu Rossów, łzawił jak na wietrze i zaczął kichać.

- To przez kota. Machnął mi ogonem przed nosem. - Znowu kichnął potężnie. - Koty zawsze tak na mnie działają.

Annie otworzyła usta, aby udzielić fachowej porady, lecz nie zdążyła. Północka skoczyła właśnie na stół, a ze stołu jednym susem na ramiona Jenkinsa i tuląc się do jego ucha, zaczęła mruczeć, jakby coś chciała mu naszeptać.

- Dość tego! - zawołał Rand. Chwycił kotkę za kark i trzymając ją na długość wyciągniętej ręki, wcisnął w ramiona właścicielki. Kichał przy tym tak, że echo niosło się po całej izbie. - Dzięki za gościnę, panno Munro, ale na nas już czas... apsik... Jak rozumiem, do Rowanclere musimy się najpierw cofnąć...?

- Tak, tak. Kierujcie się najpierw na południe. - Kotka



próbowała się wyzwolić z uścisku Annie, miaucząc przeraźliwie. Nigdy się tak nie zachowywała. Co się z nią dzieje? - Po lewej zobaczycie strumień i mostek. To droga do Rowanclere. Tylko uważajcie, bo łatwo przegapić, bo to nie tyle droga, co ścieżka.

Jenkins raz jeszcze podziękował za gościnę i dając znak do odjazdu, spieszenie wyszedł za drzwi. Kotka natychmiast ucichła. Sara włożyła trzewiki, wdziała płaszcz i ruszyła śladem swego towarzysza podróży.

- Miło było cię poznać - pożegnała się z Annie. - Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy przed powrotem do Teksasu.

- Też na to liczę - odparła Annie z prostotą. Niespodziewani goście sprawili jej prawdziwą radość i żal jej było, że wyjeżdżają.

Sara pogłaskała kotkę na do widzenia i ruszyła do drzwi. Od progu rzuciła jeszcze:

- Jeśli uda ci się przygotować napój, o który prosiłam, to daj mi znać. Do zobaczenia.

- Uważajcie na siebie! - zawołała Annie za odjeżdżającymi. Przystanąła w drzwiach i drapiąc kotkę za uszami, odprowadziła gości wzrokiem. Biedny pan Jenkins! Gdyby nie wybiegł tak spieszenie, dałaby mu coś na oczy.

Tylko że - przypomniała sobie - lek na oczy wialnie się skończył.

- Trzeba przygotować nowy zapas - mruknęła do siebie.

Dwoje podróżnych niktęto w oddali i miała już zamiar zamknąć drzwi, gdy kątem oka spostrzegła jakiś ruch na śniegu. Aż uniosła brwi ze zdziwienia, widząc, że para kotów - szary i pręgowaty - wychynęła zza węgła i pomknęła w ślad za wierzchowcem Jenkinsa. Nim zdążyła pomyśleć, trzy inne koty, które zjawiły się nie wiadomo skąd, podażyły za pierwszą parą.

Dziwne! Owszem, widywała psy biegnące za koniem, ale kotów nigdy.

Co dziwniejsze, także Północka miauknęła głośno, wyrwała się z jej objęć i dołączyła do kociej gromady, kłusującej za Jenkinsem.

Bardzo dziwne! Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się widzieć kociej sfory, a jeszcze bardziej zdumiała ją Północka - zawsze była samotnicą i nie zadawała się z innymi kotami. Co to ma znaczyć? Co się dzieje? I co takiego ma pan Jenkins, że ściąga wszystkie koty z całej okolicy?

Zdumiewające, naprawdę bardzo dziwne.

Annie zmarszczyła czoło zastanawiając się nad tym niezwykłym zjawiskiem. Zamknęła drzwi, podeszła do stołu, odkorkowała butelkę Athole Brose i powąchała.

- Pachnie... normalnie.

Powąchała szklanekę, z której pił Rand. Posmakowała resztkę, która została na dnie. Miód, śmietana, whisky - normalna Athole Brose, nie było mowy o pomyłce.

Zafrapowana, dobyła z półki starą zaczytaną księgę i zaczęła przerzucać ręcznie zapisane stronicę, szukając interesującego ją hasła. Znalazła.

*Żarnowiec. Żucie wysuszonego korzenia przydaje świeżości oddechu i zapobiega opilstwu. Dobrze robi na płuca. Oddala uczucie głodu i pragnienia. Można też podawać zamiast chleba. Po sfermentowaniu daje całkiem znośny napój.*

Annie skrzywiła się, zamykając księgę. Nic o kotach.

Odkładając tom na półkę, przystanąła i po zastanowieniu wybrała drugą, równie staro wyglądającą księgę. Na wszelki wypadek postanowiła jednak sprawdzić, czy jest w niej coś o kotach.

Te księgę, podobnie jak poprzednią, odziedziczyła po matce. Napis na karcie tytułowej głosił *Zaklęcia i czary*.

## 2

Rand Jenkins zdążył do zamku Rowanclere, otoczony swiłą złożoną z jednej wielce podenerwowanej niewiasty i siedemnastu popiskujących kotów. Czegoś podobnego nie przeżył w całym życiu. Jeszcze przy wjeździe do podgrodzia orszak liczył sześciu mruczków, ale we wsi spotężniał i gdy Rand mijał ostatnie opłotki, ciągnęło za nim siedemnaścioro przestawicieli i przedstawicielek kociego gatunku. Wyglądał więc jak legendarny szczurołap z Hameln, z tym tylko, że tamten prowadził najpierw gryzonia, a potem, gdy odmówiono mu zapłaty za uwolnienie miasta od szczurów, wyprowadził za sobą wszystkie dzieci. Ale w żadnej legendzie nie ma mowy o kocim orszaku, a już na pewno nie o gromadnie mruczków na mrozie i śniegu, bo czego, jak czego, ale zimna i wilgoci koty, jak wiadomo, nie znoszą.

I jakby pomiaukiwać z siedemnastu kocich gardeł było mało, lady Weston znów bez przerwy gadała, i to z coraz większym podnieceniem. Rand miał wrażenie, że od kociej i niewieściej kakofonii za chwilę odpadną mu uszy.

Gdy wreszcie ukazał się zamek i podjechali do paradnego wejścia od frontu, Rand złożył w duchu szczerze podziękowania,

że wreszcie męcząca podróż dobiega końca. Kończyło się też jego zadanie, wszystko, co pozostało mu do zrobienia, to przepłoszyć obrzydliwe kociska, aby przypadkiem nie weszły za nim do środka.

I udałoby się, gdyby nie Sara, która ociągała się, jakby w ogóle nie miała zamiaru zsiąść z wierzchowca. Chciał już nawet machnąć ręką i nie czekając na nią, wbiec do środka, ale nie uczynił tego. Nie potrafił się zmusić do tak nie eleganckiego zachowania. Ale był bliski, zwłaszcza kiedy jeden z mruczków wskoczył ma na nogę.

- Liczę do pięciu - powiedział, opędzając się od kota. - Albo sama zejdziesz, albo cię ściągnę z tej kobyły.

- Już zsiadam.

Ale zapowiedź okazała się fałszywa. I procedura zsiadnia trwała, a tymczasem koty przypuściły walny atak. Zbiły się w jazgotliwą gromadę wokół stóp Randa, tak że nie mógł się ruszyć.

- Co ty robisz z tymi kotami! - Sara nie straciła okazji, aby zrobić przytyk. - To zupełnie nienaturalne, że one tak lgną do ciebie.

A lgnęły tak, że potknął się o któregoś, gdy próbował ruszyć z miejsca.

- To przestaje być śmieszne - jęknął. - Muszę sprawdzić, czy ktoś nie podrzucił mi zgniłej ryby lub czegoś takiego do bagażu albo kieszeni. Niewykluczone - dodał - że zaplątała mi się w ubraniu gałązka kociej mięty. U panny Munro wszędzie wisiły jakieś zioła.

- A może Annie rzuciła na ciebie czary - rzekła Sara z błyskiem w oku.

- Bardzo dowcipne! Wchodźmy już. Twój małżonek czeka.

Na to dictum Sara spoważniała. Uśmiech znikł z jej twarzy, jakby nigdy na niej nie gościł. Gdyby ktoś szukał przykładu, jak małżeństwo źle wpływa na życie osobiste, to ona mogłaby

służyć za kliniczny wzór. I Rand to wiedział. Ucisnął ją więc za rękę, aby pocieszyć i dodać odwagi, i poprowadził do drzwi, krocząc uważnie pośród miauczącej gromady.

Nie widział Jake'a od trzech lat, więc powitaniami i -jak to zwykle między kolegami - poklepywaniami po plecach, żartom i przekomarzaniem nie było końca. Jake z nieskrywaną dumą przedstawił małżonkę - piękną Gillian - a ona na powitanie obdarzyła Randa uśmiechem gorącym jak słońce w pełni lata.

Ale na widok Sary uśmiech wyraźnie zelżał, co nie umknęło uwagi Randa. Gillian oczywiście dopełniła ceremonii powitania bratowej, jak należy, pośpieszyła ze wszystkim stosownymi uprzejmościami, ale minę miała taką, jakby właśnie połknęła całą cytrynę.

- Nicholas spodziewał się was sześć tygodni temu - oznajmiła wyniośle. - Czekał na was, ale dłużej już nie mógł. Musiał wyjechać do Anglii na święta z tamtejszą rodziną.

- Nie ma go? - Sara aż otworzyła usta z wrażenia. - Przejechałam tyle Świata, a jego nie ma?!

Rand znał ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że zaraz wybuchnie. Postanowił więc rozładować atmosferę żartem.

- To doskonała wiadomość, Saro. Wypoczniesz. Lepszego prezentu szanowny małżonek nie mógłby wymyślić.

Udało się. Nawet się uśmiechnęła.

Służący zabrał płaszcze. Oddając swój, Rand sprawdził, czy w kieszeniach nie ma jakiegoś podejrzanego zielska. Zaraz potem Gillian wzięła Sarę na górę, aby pokazać jej pokój, który został jej przeznaczony, a Jake z Randem przeszli do biblioteki.

- Czego się napijesz? Mamy tu spory wybór miejscowych trunków - gospodarz gestem wskazał rząd butelek na stole - ale postarałem się też o zapas bourbona. Przydaje się, kiedy zaczynam tęsknić za Teksasem.

- No cóż, gdy się wkroczy między wrony, trzeba krakać jako one ~ odparł Rand sentencjonalnie, wybierając whisky.

Podszedł do kominka, aby się rozgrzać, a po chwili, gdy przyjaciel podał mu szklanekę, usiadł w fotelu. I natychmiast zerwał się na równe nogi.

Usiadł na... kocie. Mruczek zapiszczał jak dziecko i też podskoczył niczym rażony piorunem.

- To twój kot? - spytał Rand Jake'a, gdy już się uspokoił.

- Nie. Nie trzymamy tu kotów, głównie z powodu naszej dwunożnej jamniczki.

- Dwunożnej?

- Niestety, biedactwo uszkodziło sobie kręgosłup i cały zad jej sparaliżowało. Tylko nie zwracaj na to uwagi, bo ona chyba nie wie, że jest kaleką.

Rand miał już zamiar dowiedzieć się więcej o niezwykłej suczce, ale nie zdążył, bo poczuł na ramionach kocie pazury. Bestia zaszła go od tyłu. Zirytowany, rzucił napastnika na sofę, która stała obok.

- Słuchaj, czy ja czymś śmierdzę? - zwrócił się do przyjaciela, ocierając zażawione oczy.

- Nie rozumiem, niczego nie czuję.

- Przyszło mi na myśl, że może ta pierwsza kotka miała cieczkę i zostawiła jakiś ślad na moim ubraniu, co przyciąga do mnie wszystkie koty.

- Rzeczywiście, za twoimi plecami znowu się coś skrada, a swoją drogą, ciekawe, jak ta bestia tu się dostała. Drzwi są przecież zamknięte. Ale popatrz na okno. At dwa próbują się tu dostać. O, i tam. - Jake wskazał na kominek, na którym też warował kot. - Ten chyba odkrył tajne przejście. Nasza Hulaj-noga... jamniczka, będzie miała używanie.

- To naprawdę przestaje być śmieszne - oświadczył Rand, podenerwowany kocią inwazją i chóralnym miauczeniem. - Pogadamy później. Teraz pójdę wziąć kąpiel i zmienić ubranie.

Niestety, ani kąpiel, ani zmiana ubrania nie pomogły. Kocia ofensywa trwała przez całe popołudnie i wieczór. Nawet przy

kolacji nie było spokoju, choć jadalnię dwukrotnie oczyszczano z niepożądanego towarzystwa. Bestie bez przerwy włąziły i nikt nie wiedział którędy. Sprawa zaczęła być bardzo denerwująca.

Gdy wszyscy zasiedli do stołu, wokół Randa znów zgromadziła się kocia gromada. Jeden mruczek łąsił mu się do nóg, drugi próbował umościć się na kolanach, trzeci, stając słupka, skradł mu kawał ryby z talerza. Rand toczył beznadziejną walkę z napastnikami, kichał przy tym potężnie, łyzy jak grochy toczyły mu się po policzkach, a co gorsza, dostał dokuczliwie swędzącej wysypki.

- Mam absolutnie dość! - zawołał zrozpaczony. - Jestem pewien, że to przez tę kobietę.

- Kobietę? - zainteresował się Jake Delaney.

- Pannę Munro. Jadąc do was, przegapiliśmy zakręt, ale zobaczyliśmy chatę i wstąpiliśmy, żeby zapytać o drogę. Moje kłopoty zaczęły się zaraz potem, gdy tylko opuściliśmy dom panny Munro.

- Niezupełnie, Rand- zaprzeczyła Sara, racząc się winem. - Zaczęło się jeszcze u niej w domu. Pamiętasz tę jej kotkę, Północkę? Przyjrzyj się dobrze, bo jeśli się nie mylę, to właśnie ta kocica ukradła ci przed chwilą rybę z talerza.

- Naprawdę? - Spojrzał na złodziejkę, która oblizywała łapy po skradzionym posiłku. - Jesteś pewna, że to ta sama bestia?

- Żadna inna nie ma tak upiornych ślepi.

Sara miała rację. Źrenice czarnej jak noc kocicy połyskiwały upiornym, a zarazem tak niepokojąco znajomym blaskiem, że Rand poczuł mrowienie na plecach.

- A może zadała mi coś w trunku, którym mnie uczęstowała?

- Przepraszam - Gillian Delaney odchrząknęła - ale czy ja dobrze rozumiem? Byłeś u Annie Munro i coś tam wypieś?

- Właśnie.

Gillian spojrzała znacząco na Jake'a, a następnie pochyliła się na Randem i opiekuńczym gestem poklepała go po ramieniu.

- Nie ma się co przejmować. Z tego, co ludzie opowiadają, to nigdy nie trwa długo. Po jakimś czasie przechodzi.

- O czym ty mówisz?

- O zaklęciach. Annie Munro potrafi rzucać czary, ale, jak mówią, na krótko.

Randa zmroziło, cała kolacja podeszła mu do gardła. Nie! Zebrał się w sobie. Nie będzie dawał wiary takim bzduram. To przecież nonsens.

- Żartujesz, Gillian. Panna Munro czarownica? Mam nadzieję, że nie wierzysz w takie bzdury.

Gillian zerknęła na czarną kocicę i wzruszyła ramionami.

- Jestem Szkotką, a w Szkocji te sprawy mają długą historię. Pewnie nie wiesz, no bo skąd... nie sądzę, aby Annie o tym wspomniała, że ostatnia czarownica, jaką spalono u nas na stosie, należała do jej rodziny?

Nie, o tym Rand nie wiedział.

- Ach, to... - kichnął potężnie -nie ma znaczenia... -Chciał jeszcze coś dodać, lecz atak kaszlu sprawił, że nie był w stanie dobyć słowa więcej, a co gorsza, poczuł tak nieznośne swędzenie, że nie mógł wprost wytrzymać. Przeprosił gestem, zerwał się z miejsca i wybiegł na dwór jak stał, bez płaszcza, bez niczego.

Dygocąc z zimna i klnąc na czym świat stoi, zrzucił z siebie marynarkę i koszulę, po czym zaczął się drapać i nacierać śniegiem. Pomogło, tylko z plecami, tam gdzie nie sięgał ramionami, było gorzej. Skoczył pod zamkowy mur, próbując otrzeć plecy o kamienie. Nie dało rady. Swędzenie nie ustawało. W rozpaczy rzucił się plecami na śnieg i trwał tak w cieniu zamkowych wież, nie bacząc na przejmujący chłód i śnieg.

W życiu tak nie cierpiał. Od mrozu szczękał zębami, ciało zaczęło sinieć, ale pomogło, Nieznośny świąd ustał i w nosie

też już mniej wierciło. Tylko oczy nadal łzawiły, lecz chyba już tylko od mrozu.

Lodowate powietrze aż kłuło w płuca. Niech to wszyscy diabli! - pomyślał. Oto on, wzięty prawnik, leży w śniegu półnagi, jak jakiś włóczęga. Do czego to doszło?!

To jasne, że ten i ów albo ta i owa ucieszyliby się na taki widok. Wrogów mu nie brakowało. I nie mógł wykluczyć, że Annie Munro do nich należała. Kto wie, może mściła się na nim za winy szkockich mistrzów palestry i dlatego napuściła na niego kocią armię.

Tylko jak to zrobiła? Rzuciła zaklęcie? Zaczarowała? Nonsense! Zaklęcia i czary to bzdura, przesąd. A jednak coś zrobiła, bo inaczej nie dygotałby teraz z zimna na śniegu. Musiała mu coś zadać.

Jakaś truciznę.

Otóż to. Ta kobieta zna się przecież na ziołach, musiała więc coś dodać do szklanki, co przyciąga te obrzydliwe kociska.

Rand zebrał się w sobie, usiadł i, ku własnemu zaskoczeniu, zobaczył, że spośród zwału śniegu między udami wychynęła para kosmatych uszu. Z wrażenia aż oniemiał. Jednego mógł być tylko pewien, że to, co ta kobieta mu dała, miało diablo silne działanie.

A kosmaty intruz, pomiaukując z cicha, zaczął mozolnie przedzierać się przez śnieg i po chwili umościł się wygodnie na Randowym... rozporoku.

- Wynocha! - wrzasnął Rand, skacząc na równe nogi. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby kosmate okropieństwo okupowało tę akurat część jego ciała.

Łtapał koszulę i dygocąc z zimna, zaczął ją wkładać. Zaraz rano - obiecał sobie solennie - pojedzie i rozprawi się z tą... czarownicą. Zażąda remedium na to, co mu zadała, i nie popuści. Będzie siedział tak długo, aż dostanie, co trzeba.

Idąc do zamkowych drzwi, zerknął jeszcze na zwierzę, które przed chwilą grzało się między jego nogami. Ciekawe - pomyś-

łał - czy to, co tak przyciąga koty, dałoby się tak przerobić, żeby działało na płęć piękną. To dopiero byłby bal... albo totalne nieszczęście,

Annie Munro śniła o kaktusach, pancernikach i o kowboju o błękitnych oczach. Ocknęła się z uśmiechem na ustach, dziwnym uczuciem w sercu i z cichym postanowieniem, że uczyni wszystko, aby pan Jenkins zechciał ją zabrać do Teksasu.

Marzyła o wyjeździe. Tu, w kraju, było jej źle. Zaszłości sprzed wieków sprawiały, że traktowano ją jak wyrzutka. Póki jeszcze żyła babka, ciotka i mama, nie odczuwała tego tak dotkliwie, ale babka i ciotka zmarły trzy lata temu, a zimą tego roku odeszła również matka i Annie została sama jak palec.

Wtedy też postanowiła, że musi zmienić swoje życie - wyjechać, i to jak najdalej, tam gdzie nie sięgną złośliwości i niechęć ludzi, którzy - owszem - korzystali z jej wiedzy i umiejętności, gdy musieli, ale też nie przepuszczali żadnej okazji, żeby jej dokuczyć. Zaczęła pilnie oszczędzać, odkładać grosz do grosza i trochę już zebrała, lecz jeszcze nie tyle, aby móc myśleć o urządzeniu się gdzieś daleko stąd. A tymczasem niechęć wokół jej osoby i przykre pomówienia zaczęły się nasilać i zdawała sobie sprawę, że długo tego nie wytrzyma.

Przyszło jej więc na myśl, że z kłopotów może ją wybawić Rand Jenkins. Jeśli tylko ona nie zmarnuje tej okazji.

Ranek wstał chmurny, wróżąc nową śnieżycę. Annie posiliła się kawałkiem kminkowego sera, specjalnie uwarzonego na Boże Narodzenie, i zabrała się do zwykłych zajęć. Od czasu do czasu przerywała pracę, wychodziła na dwór, nawołując Północkę, choć dobrze wiedziała, że próżny to wysiłek. Kotka wróci do domu, kiedy będzie chciała, i żadne nawoływania nie pomogą. Ale bez niej Annie czuła się jeszcze samotniej,

martwiła się też o ulubienicę, więc nie szczędziła wysiłku, choć nie wierzyła, aby dał on jakiś skutek.

Tak minęła godzina, w czasie której do drzwi zapukało dwoje klientów. Kobieta prosiła o napar z mirtu, bo jej dziecko - niemowlę - dostało kolki, a młody człowiek pytał o maść na ranę po oparzeniu. Annie opatrzyła go na miejscu, a gdy zobaczyła, że pacjent rusza w stronę wsi Rowanclere, przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Pomyślała mianowicie, że powinna się udać do zamku. Kotka ruszyła przecież śladem Teksańczyka, więc gdy pójdzie i spyta, czy ktoś jej nie widział, nikt się nie dziwi.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej przekonywała się do pomysłu. Uznała też, że dobrze będzie, jeśli przy okazji weźmie ze sobą coś na prezenty bożonarodzeniowe. Gillian mogłaby dać woreczek z pachnącymi ziołami, a Jake'owi... Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co mogłoby go ucieszyć.

Rozejrzała się po izbie, głośno pytając samą siebie, co człowiekowi pokroju Jake'a może sprawić przyjemność. Wzrok jej padł na gałązki jemiioły. Właśnie! Uśmiechnęła się do siebie. To, że jemiioła uważana była przez celtyckich kapłanów, druidów, za świętą roślinę, Jake'a pewnie nie zainteresuje, ani nawet to, że w dawnych czasach nawet najzaciętsi pod jemiiołą odkładali broń i podawali sobie dłonie. Ale współczesny obyczaj, wywodzący się zresztą z owej dawnej tradycji, że pod jemiiołą można się do woli całować, na pewno mu się spodoba.

Annie nieraz widziała, że Jake korzysta z każdego pretekstu, aby skraść całusa swojej pięknej żonie. Gałązka jemiioły przybrana wstążkami będzie wspaniałym prezentem.

Wzięła się więc do roboty. Przygotowała koszyk, spakowała woreczek z pachnącymi ziołami i zaczęła właśnie wiązać kokardy na jemiiole, gdy rozległo się pukanie do drzwi, a ściślej, gdy ktoś zaczął walić w drzwi z całą niemal siłą.

~ Panno Munro! - dobiegło stanowcze wołanie. - Jest pani tam? Niech pani otwiera, bo...

Akcent zdradził przybysza. Annie z wrażenia zaschło w gardle. Wytarła ręce i pośpieszyła otwierać. Oniemiała, widząc Jenkinsa w niezwyklej pozie. Stał z rękami na biodrach i łytał tymi swoimi niebieskimi oczami ze złością na kosmaty przedmiot swego niebywałego rozdrażnienia, który, jak gdyby nigdy nic, przysiadł mu na ramieniu.

- Północka, ty niedobre stworzenie. - Annie z miejsca poznała ulubienicę. - Tak się o ciebie martwiłam.

- I słusznie. Tej bestii grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? Śmiertelne?

- A tak. Jeśli mnie nie zostawi w spokoju, nie dożyje starości, ba, jutrzejszego dnia. Ani ona, ani jej świta. - Teatralnym gestem Rand wskazał na dziewięć kotów, skupionych jak karna sfera za jego plecami.

- Zdumiewające. Nigdy nie przypuszczałam, że koty można nauczyć czegoś takiego. Jak pan to zrobił?

- Ja? To pani dzieło!

- Moje?

- Jeszcze się pani dziwi? Tego już za wiele. - Rand strząsnął Północkę z ramion i nie oglądając się na resztę kociego towarzystwa i nie czekając na zaproszenie gospodyni, wkroczył do izby. - Od osiemnastu godzin z okładem te potwory nie dają mi spokoju, drapią, wążą na mnie, drażnią. Oczy mi łzawią tak, że wystarczyłoby ich na całe Loch Ness czy jak tam się nazywa wasze najstynniejsze jezioro. Bez przerwy kicham. W nocy jedna bestia położyła mi się na karku, druga na brzuchu, a trzecia w miejscu, o którym nie wypada nawet wspomnieć. A to jeszcze nie wszystko. Przy śniadaniu podkusiło mnie, żeby poprosić o mleko. I dopiero się zaczęło. Kropli nie mogłem wypić. I to wszystko przez panią!

Podszedł do półek i wyciągnął butelkę Athole Brose.

- Nie wiem, coś do tego dodała, ty mała czarownico - syknął, podtykając jej butelkę pod nos. - Ale żądam odtrutki, i to natychmiast.

- Nie jestem czarownicą - zaprotestowała Annie automatycznie, zastanawiając się jednocześnie, czy rzeczywiście trunek mógł zaszkodzić. Przyrządziła go jak zwykle, dodając tylko trochę żarnowca dla aromatu. Sama wypła ze dwie szklanki bez żadnych złych skutków, a więc Athole Brose nie mógł być przyczyną kłopotów pana Randa. To nie to wabiło koty.

- Myli się pan, panie Jenkins - oświadczyła z przekonaniem. - Zaraz to udowodnię. - Patrząc mu prosto w oczy, wyjęła mu butelkę z rąk, odkorkowała i pociągnęła spory łyk. - Doskonałe - stwierdziła, oblizując łakomie wargi.

Rand stał jak oniemiały, wpatrywał się tylko w jej usta. Nie zauważył nawet, a jeśli zauważył, to nie zwracał uwagi, że Północka znów skoczyła mu na ramiona. Nie odrywał wzroku od twarzy Annie.

A ona jeszcze raz zwilżyła wargi językiem, bo raptem poczuła niezwykłą suchość w ustach, a fala gorąca, nie mająca nic wspólnego z trunkiem, rozpaliła jej żyły. Coś między nią a Amerykaninem zaiskrzyło, oboje zamarli w oczekiwaniu w ciszy tak głębokiej, że bicie dwojga serc niosło się echem po całej izbie.

Rand Jenkins bez słowa pochylił się nad Annie. Poczowała na ustach jego oddech; podniecone zapachem męczyzny zmysły zaczęły kołatać w szaleńczym rytmie.

Nabrzmiące usta dzieliły od siebie ledwie centymetry, a może i mniej.

- A jednak jest pani czarownicą - wyszeptał.

### 3

Nabrzmiące oczekiwaniem usta dzielił ledwie centymetr, gdy między nie wtargnęła kosmata łapa. I wystarczył ułamek sekundy, krótszy niż mgnienie, by drapieżne pazury wbiły się z mocą w nos Randa Jenkinsa. Przeszywający ból eksplodował mu pod czaszką.

- Ach! - zawył, nie panując nad sobą, a Annie odskoczyła do tyłu z przerażenia. Rand złapał kotkę w daremnej próbie unieruchomienia groźnych pazurów. Zwierzę nie dało się zniewolić, wiło się i prężyło na przemian, a za każdym ruchem pazury orały ciało jeszcze głębiej. Policzki Randa spłynęły łzami.

- Niech mi pani pomoże - wykrztusił pełne bólu błaganie.

- Ty brzydkie zwierzę. - Annie chwyciła kotkę za kosmatą łapę, próbując uwolnić Randa od intruza, ale napastniczka trwała przy swoim, a piskliwe miauczenie świadczyło dobitnie o tym, co zwierzę sądzi o interwencji swojej pani.

Rand czuł, że za chwilę też zacznie miauczeć z bólu, opanował się jednak i zamiast walczyć z bestią, próbował ją ułagodzić.

- Dobry kotek, dobra Północka - przemówił na tyle łagodnie,

na ile potrafił się w tej sytuacji zdobyć. - A teraz weź łapkę po dobroci bo... - nie wytrzymał i znów zagrzemiał pełnym głosem - bo wezmę cię za kark, wyniosę i utopię w śniegu.

- Panie Jenkins, niech się pan nie waży straszyć mojej kotki - ostro zareagowała panna Munro.

- To nie groźba, tylko propozy... - Nie dokończył. W miejsce ostatniej sylaby z ust Randa dobył się tylko pełen bólesci jęk, gdy najwyraźniej niezainteresowana niby to pokojową propozycją kotka wbiła tym razem zęby w sam czubek Jenkinsowego nosa. Ten uznał, że w tej sytuacji nie pozostaje mu nic innego, jak skrócić bestii kark, ale i tego zamiaru nie zdołał wcielić w życie, bo Północka, zadowolona z dzieła zniszczenia, schowała pazury, puściła nos i zręcznie zeskoczyła na podłogę. Rand dobył chusteczkę, przyłożył do obolałego organu powonienia. - Głupi kot. Strasznie mnie boli.

- Niech się pan uspokoi i nie zachowuje jak dziecko. Chwila cierpliwości. Zaraz coś znajdę, co powinno pomóc.

Annie ruszyła w stronę półek z lekami, a Rand powiódł za nią wzrokiem.

- Ma mnie pani za szaleńca?! - zawołał, widząc, że kobieta dobywa jakiś słoć z półki. - Nie zgadzam się na żadne podejrzone mikstury. Wystarczy mi to, co już przeżyłem. Wypiłem parę łyków czegoś, co pani wyprodukowała, i sama pani widzi, co się stało.

- To tylko środek znieczulający z wierzbowej kory - wyjaśniła, podnosząc oczy ku niebu na znak, co myśli o wątpliwościach Jenkinsa. - Niech pan sobie posmaruje nos. Maść uśmierzy ból i przyspieszy gojenie.

- Powiada pani, że to z wierzby? - spytał podejrzliwie. - Tak samo jak miotły, na których latają czarownice. - Zaśmiał się z własnej złośliwości.

- Nie wiem, na czym latają czarownice, a poza tym, jeśli dobrze pamiętam, podobno pan w nie nie wierzy. Więc jak

będzie? - zmieniła temat, nakładając porcję maści na szpatułkę. - Ja mam to zrobić czy sam się pan posmaruje?

- Oczywiście, że nie wierzę w czarownice i niech się pani nie fatyguje, sam sobie dam radę. - Zdumiały go własne słowa, bo oto znów wydał się na lep tej... tej... no właśnie, jak ją nazwać? Ale zraniony nos bolał jak wszyscy diabli. - Jeśli się okaże, że nie mówi pani prawdy i że po tym, co mi pani tu proponuje, zaczną się za mną uganiać psy, to, słowo daję, oboje będziemy mieli się z pyszna.

- A ja daję panu słowo, że ten lek jest całkiem bezpieczny, podobnie jak napitek, którym pana wczoraj uczęstowałam.

- Słowo? Tylko czy na pani słowie można polegać? - Spojrzał jej głęboko w oczy, jakby chciał w ich połyskującej niepokojem zieleni znaleźć naprawdę szczerą odpowiedź.

A wzrok rzeczywiście miała niespokojny. I trudno się dziwić. Któż by zachował spokój wobec pomówień. Skoro tak, to trzeba jej zaufać, przyjąć słowo za dobrą monetę. Tylko jak to pogodzić z faktem, że kocia ofensywa zaczęła się zaraz po pobycie u tej kobiety. Coś tu było nie tak.

Ostrożnie i jednak nie bez obaw Rand nałożył odrobinę maści na obolały nos i aż jęknął z wrażenia. Co za ulga, ból ustąpił, a przynajmniej nie był już tak dotkliwy. Przyszło mu na myśl, że skoro lek jest tak doskonały, to warto nim potraktować także efekty wczorajszych kocich ataków. Zrzucił surdut i niecierpliwie zaczął rozpinać koszulę.

- Co pan wyrabia?

- Ulżyło mi, a skoro już ryzykuję, to za jednym zamachem posmaruję także całą resztę.

Ściągnął koszulę i zaczął smarować maścią niezliczone zadrapania na ramionach i piersiach.

- A pani posmaruje mi plecy - poprosił.

Zawahała się. Rand odniósł wrażenie, że nie chce dotykać jego nagiego ciała, a przynajmniej wzdraga się na myśl, że ma



to zrobić. Nie zrobiło mu się jednak przykro. Zrozumiał, że Annie wzdraga się tylko dlatego, że tak naprawdę bardzo chce go dotykać. Przecież była tak blisko pocałunku. Gdyby nie ta piekielna kocica, znałby już smak jej ust.

A niczego bardziej nie pragnął.

Musnęła go palcami po plecach.

- Cudownie. - Aż jęknął z wrażenia.

- Mówiłam, że to bardzo dobra maść.

Nie to miał na myśli.

Przymnął oczy i całym sobą chłonał delikatny dotyk kobiecych rąk. Brakowało mu tego. Przez ciągłe podróże nie miał kobiety od wielu miesięcy, a tak rozkosznego zabiegu jak ten w wykonaniu Annie Munro nie doświadczył w całym swoim życiu.

Gdyby tak mieć więcej ran - zamarzyło mu się.

Ale rozkoszny seans dobiegł nagle kresu, gdy czarna kosmata bestia zaczęła mu się wspinać po nodze. Wrócił do rzeczywistości.

- Panno Munro! - zawołał błagalnie - Annie! - zreflektował się. - Czy mogę zwracać się do pani imieniem?

Skinęła głową na znak, że może. Rand narzucił koszulę na ramiona.

- A więc, Annie - zaczął - gotów jestem przyznać, że nie ponosisz winy za moje kłopoty z kotami, a przynajmniej świadomie nie zadałaś mi niczego takiego, co przyciąga te diabelskie bestie. Ale fakt pozostaje faktem, że nigdy dotąd nic takiego mi się nie przydarzyło. A od wczoraj, od chwili gdy stąd wyszedłem, koty za mną szaleją, jakbym był chodzącą rybą albo jedną wielką kocią miętą. Coś więc musiało się tu stać, w twoim domu, a skoro tak, to twoją rzeczą jest to naprawić.

- Ale ja nie mam pojęcia, co się mogło stać, i nie wiem, co zrobić.

- No to, słoneczko, zacznij się zastanawiać. - Rand rozsiadł

się na krześle, teksaskim obyczajem kładąc nogi na stole. - Bo ja stąd nie wyjdę, zanim się nie dowiem - zapowiedział.

Mężczyzna panoszył się w jej domu.

Prawie, że ją pocałował. I siedział obnażony. A ona syciła oczy.

Takie myśli kołatały w głowie Annie, gdy udając, że nic takiego ani się nie stało, ani nie dzieje, zaczęła się krzątać po izbie. Na nic to się jednak nie zdało. Bo jak długo można udawać? A co gorsza, mężczyzna bez przerwy dawał o sobie znać. Gdy zabrała się za przygotowanie prezentów dla Delaneyów, zaczął krytykować kokardy, które wiązała na gałązkach jemioły. Gdy doprawiała zupę na ogniu, zaraz wziął łyżkę, posmakował i też skrytykował, że za mało soli. A kiedy się wzięła za sporządzanie naparu z bukwy dla pani MacAfee, która cierpiała na nerwy, przysunął się bliżej i miał dziesięć tysięcy pytań.

Tego było już za wiele.

- Panie Jenkins, przeszkadza mi pan.

- Proszę do mnie mówić Rand. Co prawda, nazywam się Randall, po ojcu, ale nie lubię, gdy tak mnie nazywają, bo ojciec był wyjątkowym drabem. A to? - sięgnął jej przed nosem, biorąc do ręki wysuszoną gałązkę z kupki leżącej na stole. - Co to jest i na co działa?

- Dymnica - odpowiedziała rzeczowo. - Niektórzy twierdzą, że palona odstrasza złe duchy. Chyba zaraz zapalę trochę tego zielska.

- Żeby przepędzić koty.

- Nie, pana!

- Och, Annie... - Uśmiechnął się jak niepyszny, odłożył gałązkę i wziął do ręki słoik. - A to na co?

Udała, że nie słyszy, więc otworzył słoik i podetknął jej

zawartość pod nos. Powąchała i tłumiąc śmiech, poradziła, żeby spróbował.

- To akurat może zadziałać na pański problem - dodała.
- Tak myślisz?
- A niech pan przeczyta etykietkę.
- "Tyłkoświad"! Wstydu nie masz - oburzył się, odstawiając

słoik ze wstrętem, a Annie zachichotała, rozbawiona jego reakcją.

Uśmiech jednak zgasł, gdy kątem oka dostrzegła ruch pod sufitem. Na krokwi przycupnął kot, obcy, bo nigdy przedtem go nie widywała. Co gorsza, zobaczyła jeszcze jednego, który skradał się pod ścianą, i trzeciego, właśnie zmierzającego na półkę z lekami. Zmartwiła.

- Zaraz się zacznie - oznajmiła szeptem, jakby się lękała, że koty usłyszą. Północka nie znosi obcych na swoim terenie. Zaraz będzie wojna.

I nie myliła się. Ledwo skończyła, gdy chata wręcz eksplodowała. Koty skoczyły na siebie. Powietrze aż zgęstniało od miauków, pisków i sierści targanej pazurami kosmatych wojowników.

Na nieszczęście Rand uznał, że powinien położyć kres wojnie. Nie wiedział, co czyni. Krajobraz po bitwie wyglądał w ten sposób, że biedny Rand leżał jak niepyszny na podłodze, mając na brzuchu zwycięską Północkę. Lizała sobie łapy, pomrukując z zadowolenia, że przepędziła intruzów, a Rand męłł przekleństwa pod nosem.

- Widzę, że nie ma pan pojęcia o tego typu bataliach - skomentowała Annie.
- Na kotach może się nie znam, ale na kociakach i owszem - mruknął. Zrzucił Północkę i usiadł.
- Znowu pan krwawi.

Rzeczywiście, pod porwaną koszulą płynęły strużki krwi z ran zadanych przez kocie pazury.

- Będiesz chyba musiała dorobić tej maści, Annie. A czy pomaga też na wysypkę? Znowu zaczyna mnie swędzić skóra.

- Najpierw musi mi pan przynieść wody. Przewrócił pan wiadro, panie Jenkins.

- Rand - poprawił ją, drapiąc się nerwowo w brzuch. - Muszę chyba rzucić się w śnieg, bo nie wytrzymam.

Annie aż kusiło, żeby mu powiedzieć, że dobrze zrobi i niech już tam zostanie, ale wyglądał tak mizernie, że zdjęła ją litość. Wzięła z półki słoik i mu go podała.

- Jak się już natrzesz śniegiem, nie wycieraj się, połóż maść na wilgotną skórę, tylko dość grubo.

- W porządku. Gdzie jest studnia?

- Nie ma. Noszę wodę z potoku za chatą.

Mroźne powietrze wtargnęło do izby, gdy Rand wymaszerował z wiadrem na dwór. Annie ogarnęła pobitewny krajobraz. Dobra godzina sprzątania, szkód też nie ma. Większość, niestety, spowodowana Jenkinsową odsieczą. Sięgnęła po miotłę i ścierkę i zaczęła się krzątać jak fryga. Ważniejsze niż szkody, jakich narobił, było to, że zaistniał w jej życiu.

Prawie że ją pocałował. Zadrzała z podniecenia na to wspomnienie. Na sam jego widok robiło jej się gorąco.

I pielęgnowałyby w sobie tę i podobne myśli, gdyby nie pukanie do drzwi. Tekszańczyk znów wpadł w kłopoty. Ciekawe jakie?

Ale to nie Rand stał na progu. Odór whisky uderzył Annie, gdy młody człowiek z sąsiedztwa, nie czekając na zaproszenie, wtoczył się do izby. Nie, tylko nie to.

- Johnny Hart?! Jakim prawem? Wynoś się.

- Spokojnie, wyjdę, jak mi dasz to, czego chcę - zabełkotał i chwiejąc się na nogach, natarł na Annie z lubieżną miną.

Wyrwała mu się i skryła za stołem.

- To kłamstwo, co o mnie opowiadają. Wynoś się i nie krzywdź mnie.

- Jużja cię nie skrzywdzę. Znam się na dziewczicach. Niejedną miałem.

- Ale tej nie dostaniesz. Wynoś się, bo... - Annie chwyciła nóż ze stołu.

- Nie wyjdę. Potrzebna mi twoja moc, czarownico. Zlegnę z tobą na cały dzień i noc, aż się wszystkiego nauczę. Chcę mieć własny zamek i chcę mieć dom w Edynburgu. Podoba mi się to miasto. I będę to wszystko miał, gdy na ołtarzu u Świętego Pawła spalę trochę dziewiczej krwi i lok twoich kruczych włosów.

- Nie dostaniesz. Załatwię cię jak tych dwóch twoich kolegów, co też ze mną próbowali.

- Wiem, wiem, Will Henderson i Thomas Keith, ale to ułomki. Ja jestem większy i silniejszy.

- I bardziej pijany, i jeszcze bardziej wystraszony. Boisz się, John, wiem dobrze, że się boisz. Musiałeś osuszyć butelkę, aby nabrać odwagi, żeby tu przyjść. Strachliwy jesteś. I wiem, czego się boisz: że zaczaruję twoją męskość. - Mówiąc to, Annie wbiła wzrok poniżej pasa intruza.

Zwykle to skutkowało, ale nie tym razem. Johnny tylko zarechotał.

- Nie wytrzeszczaj tak oczu, bo nic mi nie zrobisz, czarownico. Ludzie mnie uprzedzili, więc się zabezpieczyłem przed złymi urokami. Mam w kieszeni gałązkę jarzębiny i jemiołę! Widzisz? Nic mi nie możesz zrobić. A teraz odłóż ten nóż i chodź tu do mnie, załatwimy sprawę,

Annie nigdy się tak nie bała jak w tej chwili i po raz pierwszy w życiu szczerze żałowała, że nie jest prawdziwą czarownicą,

- Głupiś! - krzyknęła, gdy zaczął na nią nacierać. - Radzę ci, daj mi spokój, bo pożałujesz.

- A niby czego? Wyglądasz całkiem, całkiem, moja Annie. Będzie fajnie...

- Chyba że lubisz, gdy cię boli! - Wywinęła mu się tak udanie, że ostrze, które zamierzał jej wyrwać, rozorało mu dłoń.

Ryknął z bólu i odruchowo zaczął ssać ranę.

- Zapłacisz mi za to! - zawołał z wściekłością i znów próbował ją schwycić, a jej po raz drugi udało się wywinąć. Cały czas gorączkowo myślała, co zrobić. Mogłaby cisnąć nożem, ale to ryzykowne, bo może nie trafić. Mogłaby zacząć krzyzczeć i wezwać Randa na pomoc, lecz na to była za dumna. Nauczyła się Uczyć tylko na siebie, taką już miała naturę.

Co więc zrobić? Intruz tymczasem chwiał się na nogach i rozsiewał odór ledwo przetrawionej whisky. To już trzeci w ciągu ledwie dziesięciu dni. Niech ich wszystkich... Gdyby tylko wiedziała, kto zaczął rozsiewać te niewybredne plotki o niej, potraktowałaby tego kogoś "tyłkoświadem" i miałby za swoje. Nie usiadłby przez tydzień.

A tymczasem John Hart uczynił coś, co ją zaskoczyło - dobył nóż! Annie zamarła, a on, korzystając z tego, podskoczył do niej i machnął ostrzem.

Poczuła piekący ból na głowie. W rękę napastnika została garść uciętych nożem włosów. Annie zagotowała się ze złości. Nie była specjalnie próżna, ale lubiła swoje włosy. Uważała, że ma je naprawdę ładne, więc fakt, że drab ważył się je tknąć, przepełnił ją niepohamowaną wściekłością.

- Nie powinienes być tego robić, Johnny - syknęła i jak błyskawica sięgnęła na półkę, gdzie trzymała naprawdę skuteczną broń: flakon z wyciągiem z korzenia pewnej rośliny, niezwykle żrącym. - Ostrzegam cię po raz ostatni, zostaw mnie w spokoju.

- Kosmyk włosów już mam, teraz jeszcze trochę dziewiczej krwi. - Zachichotał oblesnie.

Annie nie czekała już dłużej. Wyciągnęła korek i całą zawartością flakonu chlusnęła prosto w twarz napastnika. Kwas wżarł się w skórę.

- Wypaliłaś mi oczy! - Zawył z bólu i przerażenia.

- Oczy ci oszczędziłam. A teraz wynoś się i nigdy tu nie wracaj.

- Ale to okropnie boli. Ratuj mnie - błagał.
- Idź na dwór i przykładaj śnieg, to ci pomoże. Przykładaj przez całą drogę do wsi. Jak dojdiesz, poczujesz się lepiej. John Hart skoczył do drzwi, ale zatrzymał się w progu.
- Ludzie mówią prawdę, jesteś złą czarownicą. Powinienem tu przyjść, jak mi radzono, w nocy. Załatwiłbym sprawę, zanim byś się obudziła. Tak trzeba było to zrobić. Chciałem być miły, a ty tak mi się odpłaciłaś. - Trzasnął drzwami i wyszedł.
- Zaraz za progiem nabrał garść śniegu i zaczął przykładać do oczu. Ruszył przed siebie, mało co widząc, i wpadł na Randa, który właśnie wracał z pełnym wiadrem wody.
- Uważaj człowieku, jak leziesz! - krzyknął Rand ze złością, gdy z kubła chlusnęło wodą na śnieg.
- Annie wycierała właśnie starannie podłogę, usuwając resztki żrącego płynu. Zdażyła też na nowo upiąć włosy, aby nie widać było braku.
- Co się stało temu człowiekowi? - spytał Rand od drzwi. - Twarz miał jak spaloną od słońca.
- Annie nie odpowiedziała. Teraz, gdy bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło, całą uwagę skoncentrowała na dłoniach. Nie chciała, by Rand zobaczył, że drżą. Kołatało jej w głowie to, co Johnny powiedział na odchodnym, że powinien był przyjść w nocy. Gdyby rzeczywiście zastał ją we śnie, to pewnie udałoby mu się zrealizować zbrodniczy plan. Ktoś mu tak radził, Następnym razem ów ktoś może sam tu przyjść.
- Następnym razem...
- Nie! - krzyknęła półgłosem, rzucając ze złością ścierkę. - Następnego razu nie będzie.
- Czego nie będzie? - zdziwił się Rand, przelewając wodę z wiadra do saganka na piecu, a gdy skończył i odstawił wiadro do kąta przy drzwiach, spojrzał na Annie badawczo. - Nic ci nie jest? - spytał z troską. - Czy ten człowiek nic ci nie zrobił.
- ~ Nie. Nic się nie stało. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Tylko jak długo tak będzie?

Rand nie dopytywał się więcej. Uznał, że skoro Annie twierdzi, że nic jej nie jest, to nie ma o czym mówić. Z zainteresowaniem zaczął oglądać zawartość półek.

- Skoro wszystko jest w porządku - odezwał się po chwili - to przejdźmy do rzeczy. Wolałbym, aby nie doszło do kolejnej kocięj wojny, ty chyba też. A więc gdzie jest odtrutka na moje dolegliwości? Masz coś gotowego czy musisz specjalnie zrobić?

Annie zmilczała. Po raz pierwszy w życiu postanowiła postąpić inaczej niż zawsze. Pomysł pojawił się nagle i jak lawina potężniał, żył własnym życiem, ogromniał tak, że nie była w stanie nawet się zastanowić, a słowa same cisnęły jej się na usta.

- Mówiłam ci, że niczego ci nie zadałam. W Athole Brose niczego złego nie było. Mówiłam prawdę. Niczego ci nie zadałam. Rzuciłam tylko zakłęcie!

## 4

Przepraszam, co? - Zdumienie Randa nie miało granic.

- Rzuciłam na ciebie czary.
- Opowiadasz bzdury, tylko po co?

Annie bez słowa podeszła do szafki przy łóżku i z szuflady wyciągnęła wielce starą i zużytą księgę. Uniosła ją jak największy skarb i pieczołowicie ułożyła na stole, dając znak Randowi, żeby podszedł. - Nie powinnam tego nikomu pokazywać, ale zrobię wyjątek. Niech pan przeczyta tytuł, panie Jenkins,

- Rand - poprawił ją automatycznie i pochylił się nad księgą, studiując iluminowane litery na okładce.

- *Zaklęcia i czary* ~ wyręczyła go Annie, akcentując każdą głoskę. - Proszę, obejrzyj sobie, tylko ostrożnie. Ta księga jest w rodzinie od pokoleń. Większość zapisów pochodzi sprzed setek lat, karty są zmurszałe. I jeszcze jedno, lektura jest niebezpieczna, chyba że wśród przodków miałeś czarownice. Jeśli nie, to bądź naprawdę ostrożny, bo możesz sam na siebie rzucić zaklęcie.

Do czego ona zmierza? O co tu chodzi? - zastanawiał się gorączkowo Rand, przykładając chusteczkę do nosa, bo znów

zbierało mu się na kichanie. Skąd ta zmiana? Do tej pory stanowczo zaprzeczała, wręcz oburzała się na sugestie, że jest czarownicą.

Coś musiało się stać i to coś miało chyba związek z człowiekiem, który był tu przed chwilą. Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej był tego pewien.

- Mam pójść za tym człowiekiem i odprowadzić go tam, skąd przybył, do piekła? - zakpił.

- Chyba że masz w rodzinie czarownice - odparła, jakby nie zauważając kpiny.

- Nie mam. - Nie dodał, bo uznał, że nie wypada, że, owszem, miał w rodzinie czarownice, ale w innym sensie: po prostu żoły, które wszystkim zachodziły za skórę. Ale nie czas i nie pora, by stawiać znaki równania między nimi i tą czarownicą, zwłaszcza że miała ona tak czarujące oczy i tak czarująco patrzyła.

- Bo u nas to rodzinna profesja - odezwała się tymczasem Annie. - Jak nie wierzysz, to spytaj choćby Jake'a Delaney. To twój przyjaciel, prawda? Jego żona wie o mnie dużo.

- I wie, że potrafisz łączyć żywe oczy?

- Zanim zarzucisz mi kłamstwo, obejrzyj księgę - odparowała z ledwo skrywaną irytacją.

Rand kichnął potężnie i zaczął przerzucać karty starej księgi.

- „Jak sprowadzić chorobę”, „Zaklinanie deszczu”, „Napój miłosny” - czytał na kolejnych kartach. - O, o... - ucieszył się - tu jest coś dla Sary: „Jak przemienić człowieka w żabę”.

- To jedno z naszych najbardziej ulubionych zaklęć.

Rand znów kichnął potężnie.

- A dlaczego nie wspomniałaś o tym, gdy Sara pytała.

- Wolę się nie mieszać w sprawy małżeńskie.

- Dobra odpowiedź - pochwalił Rand, przewracając zmurszałe karty. - Muszę przyznać, Annie, że czytając tę księgę, można by uwierzyć, że rzeczywiście jesteś czarownicą. To bardzo stara rzecz, prawda?

- Bardzo.
- A gdzie jest coś o kotach?
- Nie wszystkie zakłęcia są w księdze - zbyła go i aż podskoczyła złęknona, gdy Rand nagle zamknął księgę z hukiem i spojrzał na nią wyzywająco.
- No dobrze, siostrze, zagrajmy w otwarte karty. O co ci naprawdę chodzi?
- Siostrze?
- Szekspir. Siostry wiemy z Makbeta. A tak przy okazji, czy Tan Kawdor to nie z tych stron? Czy twoja prapraprababka nie przyjaźniła się z nim przypadkiem?
- Bardzo śmieszne, panie Jenkins - prychnęła Annie. - Ale mogę zapewnić, że gra jest czysta. Rzuciłam kłutwę celowo i gotowa jestem ją zdjąć, ale pod pewnymi warunkami.
- Warunkami? - powtórzył Rand szyderczym tonem. - A więc mam do czynienia z szantażystką. - Sięgnął po portfel. - Powinienem był to przewidzieć, ale cóż, widać nie znam się na ludziach. Zawsze tak pani postępuje, panno Munro? Dziwię się, że jeszcze ktoś do pani zagłada. A więc ile za antidotum na koty? - Otworzył portfel, ukazując plik banknotów.
- Nie chcę pieniędzy.
- No to czego chcesz? Ale uprzedzam, że nie zmusisz mnie do niczego, co byłoby niezgodne z prawem i niemoralne... - zawiesił głos, przyjrzał jej się bacznie od stóp do głów. - Co do tego drugiego, to możemy ewentualnie porozmawiać.
- Nie oczekuję niczego, co jest niezgodne z prawem - energicznie zaprzeczyła Annie.
- To już dobrze.
- Ani niemoralne.
- Ciekawe.
- Proszę tylko, aby mnie pan zabrał ze sobą.
- Słucham?

- Żeby mnie pan zabrał ze sobą do Teksasu. Im szybciej, tym lepiej. Jeśli pan się zgadza, to zdejmę z pana kłutwę.
- Rand skrzywił usta w półuśmiechu.
- W porządku, zgadzam się. Zdejmuj kłutwę.
- Odpowiedź zbiła Annie z pantałyku. Nie spodziewała się, że Amerykanin zgodzi się bez targów. Zaczęła wietrzyć podstęp.
- Nie mogę tego zrobić tak od razu - odrzekła, patrząc nań podejrzliwie.
- Dlaczego nie? Ja jestem gotów. - Wyprostował się, wypiął pierś, rozłożył ramiona. Ten gest speszył Annie i Rand zaśmiały się jej w twarz, gdyby nie to, że zależało mu antidotum.
- Gdybym uwolniła pan od kłutwy tak od razu, to jaką miałabym pewność, że dotrzyma pan umowy? Skąd mogę wiedzieć, czy nie obróci się pan na pięcie i nie ucieknie?
- A nawet gdybym miał taki zamiar, to co to za problem? Jesteś czarownicą, a więc bez najmniejszego trudu mogłabyś mnie przemienić w żabę czy inne obrzydlistwo.
- To nie jest tak, jak pan myśli - odrzekła tajemniczo.
- Był to tylko wybieg. Nie mogła przecież przyznać, że nie jest czarownicą, że nie włada żadnymi tajnymi mocami, a zna się tylko na ziołach.
- Rand opuścił ręce.
- A więc mamy problem - rzekł. - Koty lada chwila przypuszczą nową ofensywę, a ja za skarby świata nie będę się już nurzał w śniegu. Nie uśmiecha mi się zapalnie płuc.
- Proponuję kompromis. Dam panu coś na wysypkę...
- A co z kichaniem i łzawieniem oczu. Nie wypada, żeby taki stary koń jak ja mazgał się jak dziecko.
- To pomoże także i na to.
- A co z kotami?
- Niech pan wreszcie przestanie przerywać i pozwól mi dokończyć. - Poczekała, aż Rand zacznie słuchać. - Lek usunie

objawy, ale nie odpędzi kotów. Z tym poczekamy do chwili, gdy znajdziemy się na pokładzie statku, którym popłyniemy do Ameryki. Dopiero wtedy uwolnię pana od klątwy.

Spryciuła - nie ma co mówić. Wymyśliła sobie podwójne zabezpieczenie.

- Czy mam rozumieć, że koty będą mnie napastować aż do wyjazdu ze Szkocji.

- Niestety tak.

- Nie mogę się na to zgodzić.

- Lepszej propozycji pan nie dostanie.

W głębi duszy Rand podziwiał swoją prześladowczynię. Zaimponowała mu sprytem i odwagą, ale też nie mógł, i nie chciał, zgodzić się na jej plan. Cóż z tego, że uwolni go od dokuczliwego świądu i łzawienia, skoro kociska nadal będą go napastować. Kotów nie znosił. Co innego psy, zwłaszcza duże ~ charty i ogary. Psy słuchają człowieka, są posłuszne. Nie piszczą, nie miauczą, ale pieszczą ludzkie ucho szlachetnym szczekaniem. Nie atakują zniecka, nie skaczą z szafy czy spod sufitu, nie pętają się pod nogami, a już na pewno nie rzucają się z pazurami na ludzkie nosy.

Prawnicze doświadczenie - a prowadził niejedną sprawę jako adwokat - nauczyło Randa, że zwycięstwo niekoniecznie przychodzi od razu i że czasami trzeba się uciec do podstępów. Skoro miał do czynienia z szantażystką, małe kłamstwo nie będzie grzechem.

- W porządku, zgadzam się. Daj mi więc lekarstwo.

- To nie takie proste. Muszę je zrobić, bo tylko świeże działa, jak należy, a na to potrzebuję trochę czasu. - Zerknęła na zegar stojący na kominku. - Przyjdź jutro o tej samej porze.

- Wykluczone, muszę je mieć teraz, bo nie wytrzymam.

- Wytrzymasz. Wyglądasz o niebo lepiej, niż gdy tu przyszedłeś. Zaczerwienienie oczu ustąpiło, a od dobrych pięciu minut nie kichnąłeś ani razu.

- To dlatego, że twoje kocisko przepędziło te potwory, ale na jak długo? Podejrzewam, że lada moment wrócą i znowu się zaczną. A w ogóle - spojrzał na Annie z góry - to nie podoba mi się to wszystko. Ledwie zawarliśmy układ, a już trzeba zaczynać od początku...

- Bo...

- Żadnych bo i żadnych ale. Jeśli mam czekać dwadzieścia cztery godziny na lekarstwo, to daj mi tymczasem coś, co odstraszy koty. Tak będzie uczciwie.

Nie mówiąc o tym, że takie rozwiązanie załatwiłoby całą sprawę raz na zawsze. Nie musiałby już tu wracać. Uśmiechnął się do siebie, dumny z podstępów.

Lecz nie docenił przeciwniczki. Annie Munro nie dała się nabrać.

- Przykro mi, panie Jenkins, ale to niemożliwe. Mogę panu tylko doradzić, aby do czasu otrzymania lekarstwa unikał pan zamkniętych pomieszczeń. Radzę też spać przy otwartym oknie, jeśli nie boi się pan zimna. Z tego, co pan mówi, wnoszę, że objawy, na które pan się skarży, nasilają się, gdy dochodzi do fizycznego kontaktu z kotami. Radzę więc czynić wszystko, aby wykluczyć obecność tych zwierząt w bezpośrednim otoczeniu.

Rand podrapał się po głowie.

- Zabawne. Brzmi mi to jak porada lekarska, a nie rada czarownicy.

Annie nie odpowiedziała. Z całą godnością, na jaką było ją stać, podeszła do wieszaka przy drzwiach, zdjęła jego płaszcz i mu podała.

- I radzę jechać do zamku. O tej porze roku dni są krótkie. Niech się pan śpieszy, bo nie zdąży pan przed zmierzchem.

Rand spojrzał na płaszcz i nie uczynił żadnego ruchu. Stał, jakby go zamurowało. Annie odczekała chwilę, po czym ze wzruszeniem ramion otworzyła drzwi. Fala mroźnego powietrza

wdarła się do środka. To samo próbowała zrobić gromada kotów, czyhająca na podwórku, i zapewne ruszyłyby ławą, gdyby nie Półnoka. Kocica wyskoczyła nie wiadomo skąd i pomrukując groźnie, usadowiła się na progu, gotowa bronić swego terytorium. Wojowniczy pomruk przywiódł Randowi na myśl równie groźny terkot teksaskich grzechotników, gotujących się do ataku.

- Czy zwierzęta czarownic mogą zmieniać postać? - spytał, nie będąc pewnym, czy w kotce przypadkiem nie drzemie grzechotnik.

- Półnoka! Przesuń się. Blokujesz drogę, a pan Jenkins chce wyjść - zainterweniowała Annie bez specjalnego skutku.

Rand zerknął na gromadę kotów, przyczajoną na dworze, i na ogień buzujący na kominku w izbie. Pokręcił głową.

- Nie, wcale nie chce. Zamknij drzwi, Annie. W sprawie świeżego powietrza i jego zbawiennego działania na moje dolegliwości zapewne masz rację. Ja jednak myślę, że co za dużo, to niezdrowo...

- Ale...

Rand odebrał jej płaszcz i spokojnie powiesił z powrotem na wieszaku. Zamknął następnie drzwi, bo Annie ani drgnęła.

- A teraz, słonko, powiedz, co będzie na kolację? - spytał z rozbrajającym uśmiechem.

Nie otrzymał odpowiedzi. Annie spojrzała tylko na niego takim wzrokiem, jakby chciała rzucić najgorszy z możliwych uroków.

- A zresztą nie fatyguj się. Chyba straciłem cały apetyt - oświadczył Rand.

Jedno było tylko pocieszające - jako czarownica Annie nie musiała się lękać ludzkich języków. Nikt się nie zdziwi, a nawet nie oburzy, że ona - samotna kobieta - przyjmuje

w nocy obcego mężczyznę. I tak miano ją za nic. To właśnie bolało ją najbardziej, bo niczego tak w życiu nie pragnęła, jak tego, by ją szanowano. I takie właśnie nadzieje wiązała z wyjazdem do Ameryki. Ufała, że zła sława nie sięgnie przez ocean.

Nie zaprotestowała, kiedy Rand oświadczył, że zostaje, także i dlatego, że po wizycie Johnny'ego Harta wolała mieć towarzystwo.

Tymczasem zatrudniła Teksaniczka do pomocy przy wazeleniu lekarstwa na jego dolegliwości. Kazała mu utłuc w mordercu pędy wilczych jagód. Do maści potrzeby jej był sok, który wymiesza z nasionami ostrożeńca. Rand skrzywił się niepewnie, gdy usłyszał, co nasypała do mordercu, ale posłusznie zabrał się do pracy. Nie siedzieli w milczeniu. Zaczęli rozmawiać o tym i owym, co Annie sprawiło prawdziwą przyjemność. Od śmierci matki nie miała do kogo ust otworzyć, nie mówiąc już o czymś takim jak pogawędka.

- Opowiedz mi o Teksasie, Rand - poprosiła. - Muszę się wszystkiego dowiedzieć, skoro mam tam jechać. Wspominałeś, że działaliście wspólnie z Jakiem Delaneyem. Jake mieszkał w San Antonio, ty też?

- Mieszkałem, ale niedawno przeprowadziłem się do Fort Worth i tam właśnie zaczęła się afera z Sarą, bo ona tam mieszka czy raczej mieszkała. A swoją drogą, ciekawe, jak się zakończy jej spotkanie z lordem Westonem. Wracając zaś do Fort Worth, to całkiem przyjemne miasto. Została w nim jeszcze odrobina atmosfery Dzikiego Zachodu, przez co jest naprawdę ciekawe.

- A San Antonio? Dlaczego się wyprowadziłeś? Nie podobało ci się?

- Jakby ci tu powiedzieć... Wypędzono mnie.

Annie aż wypuściła z palców nasiona, które łuskała na maść.

- Wypędzono?

- Niestety. - Uśmiechnął się kwaśno. - Chodziłem z pewną



dziewczyną, a zresztą nie ma co ukrywać. Była córką burmistrza. Jej rodzina naciskała na ślub, a mnie się to zupełnie nie uśmiechało. Miałem przykre doświadczenia w tej mierze i nie chciałem znów nakładać jarzma na szyję.

Znów? A więc miał już żonę.

- Jesteś wdowcem?

- Niestety, nie. Diablica ma się całkiem dobrze i nadal żyje z owoców mojej pracy w Austin. Jestem rozwiedziony.

- Rozwiedziony? - powtórzyła zdumiona do granic Annie. - Rozwiedziony mężczyzna to tak, jak kobieta czarownica!

Teraz Rand zdumiał się jak ona przed chwilą. Łupnął tłuczkiem w mózdzierz z takim rozmachem, że wokół sypnęło pokruszonymi pędami wilczej jagody.

- To komplement dla mnie czy przeciwnie?

- Ani jedno, ani drugie.

Rand zastanowił się.

- Nadal nie rozumiem. Co ma wspólnego rozwód z magią. Owszem, czasami nazywam swoją byłą małżonkę czarownicą, ale to tylko taka przenośnia.

Annie odłożyła drewnianą łyżkę, którą mieszała surowiec na lekarstwo, i spojrzała na niego wzrokiem pełnym oburzenia.

- Rozwód to straszna sprawa, skandal i w ogóle. Po prostu nie uchodzi.

- A uchodzi być z kobietą, która zdradza męża i przyprawia mu rogi.

- Och!

- No właśnie, och. Wystarczy tego? - Pokazał zawartość mózdzierza.

~ Mało, trzeba jeszcze raz tyle.

Rand posłusznie zabrał się znowu do pracy. Annie gorączkowo szukała w myślach odpowiednich słów. Kusiło ją, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o jego żonie, ale nie chciała być niegrzeczna. Na szczęście Rand sam zaczął mówić.

- To była bolesna lekcja. Kochałem żonę, a ściślej kochałem kobietę, która udawała, że jest moją żoną. Gdy przekonałem się, że mnie okłamuje... - wzruszył ramionami - przyrzekłem sobie, że taki naiwny już nie będę. Dlatego nie dałem się zaciągnąć do ołtarza z córką burmistrza. Coś mnie zmroziło.

- Wtedy czy teraz? - Annie wymownie spojrzała na jego stopy.

- Nie rozumiem.

- Jeśli teraz, to byłoby dziwne. Północka grzeje ci nogi.

Rand aż zaklął z obrzydzenia. Zrzucił kotkę, jakby go paliła, i kichnął przy tym tak, że echo poniosło po izbie.

- Zmroziło mnie - zaczął wyjaśniać, gdy się nieco uspokoił - bo bałem się, że znów wpadnę w bagno. Ciągle pamiętam, jak to było w pierwszym małżeństwie, i wolę dmuchać na zimne. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy kiedyś jeszcze zaufam jakiejś kobiecie na tyle, żeby związać się z nią na zawsze.

- No tak - skwitowała Annie, bo nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy. Zaczęła się krzątać przy półkach, wybierając pozostałe niezbędne składniki do leku. Wszystko razem wymieszała w garnku i wstawiła na ogień. Cały czas jednak zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Dobrze się składa, że liczyła wyłącznie na pomoc Randa w wyjeździe i nie wzięła z nim żadnych planów matrymonialnych. W ciągu ostatniej godziny nakłamała bowiem tyle, że głowa mała, więcej niż w ciągu ostatnich pięciu lat, ba - więcej niż w całym dotychczasowym życiu.

Rand dobył kraciatą ścierkę z kosza z czystymi rzeczami, wytarł ręce i wsparł się wygodnie o półkę.

- Opowiedziałem ci o moich najgłębszych tajemnicach, teraz twoja kolej.

- No cóż, jestem czarownicą, ale to już wiesz.

- Nie o to chodzi. Chciałbym, na przykład, wiedzieć, dlaczego tak ci zależy na wyjeździe, że uciekasz się do... podstępny...

to znaczy - poprawił się - że aż rzucasz klątwę na biednego cudzoziemca, aby tylko zrealizować swój zamiar.

Annie nie odpowiedziała od razu. Z całych sił pragnęła, żeby ją zrozumiał. Nie wiedziała dlaczego, ale tak właśnie czuła. Może dlatego, że otworzył przed nią serce, że pozwolił, by ujrziała nie tylko piękną twarz i pociągającą sylwetkę, ale i mroczą duszę. A może dlatego, iż zimowy zmierzch sprzyjał zwierzeniom. A niewykluczone, że zrobiło jej się zwyczajnie wstyd, że skłamała, i pragnęła to naprawić. Chciała, żeby ją zrozumiał, ale zwlekała z odpowiedzią. Najpierw zamieszała w garnku, poprawiła ogień, upewniła się, czy lek gotuje się, jak należy, a następnie sięgnęła na półkę po butelkę whisky, którą otrzymała jako zapłatę od jednego z pacjentów - miejscowego rzeźnika, cierpiącego na reumatyzm. Nalała dwie szklaneczki, jedną podsunęła Randowi.

Ten spojrzął na trunek, a następnie przeniósł wzrok na Annie. W lot zrozumiała, o co mu chodzi. Sięgnęła po jego szklanekę, upiła łyk i podsunęła mu swoją. Rand pokręcił głową i wyciągnął rękę po swoją szklanekę. Podejrzliwi.

- Dlaczego chcę wyjechać? - powtórzyła Annie pytanie. - To trudna sprawa. Wiem, że będę strasznie tęsknić za Szkocją. Na samą myśl, że już nigdy nie zobaczę kwitnących wrzosowisk, serce mi się kraje. Ale z drugiej strony bije radośnie na myśl o innych krajach, nowych widokach i przeżyciach.

- Lubisz przygody?

- Chyba tak, choć, szczerze mówiąc, nie miałam okazji, żeby się o tym przekonać.

Rand słuchał w milczeniu, błędząc wzrokiem po całej jej postaci, od góry do dołu i od dołu do góry.

O czym on myśli? - zadała sobie pytanie, a odpowiedź, która jej się nasunęła, wstrząsnęła nią do głębi. Nie dlatego, że Rand patrzył łąkomię, lecz dlatego, że nie miała mu tego za złe,

- Ale tak naprawdę - dodała głośniej, jakby chciała za-

głuszyć własne myśli - to muszę wyjechać. Po prostu wiem, co będzie się działo, jeśli zostanę. Krótko mówiąc, nie mam wyboru.

- Nie masz wyboru? Trudno w to uwierzyć. A czego się obawiasz?

Annie wolała nie mówić o ostatnich wypadkach i o tym, co mówią o niej we wsi. To zbyt świeże i zbyt bolesne sprawy. Przywołała więc wydarzenia sprzed lat, gdy po raz pierwszy zaczęła myśleć o wyjeździe.

- Trzeba ci wiedzieć, że kiedyś mieszkałam znacznie okazalej. Jeszcze trzy lata temu zajmowałyśmy z mamą, jej siostrą i moją babką piękny ośmiopokojowy dom. Stał niedaleko, jakieś sto metrów stąd.

- A ojciec? Nie wspomniłeś o ojcu.

- No cóż - Annie zaśmiała się bezgłośnie - czarownice z rodu Munrów nie mają szczęścia do mężów. Ojciec zostawił rodzinę jeszcze przed moim urodzeniem.

- A trzy lata temu, co się stało?

- To bolesna sprawa. Zaczęło się od tego, że jedna z sąsiadek ze wsi oskarżyła moją ciotkę, że uwodzi jej męża. To nie była prawda, lecz złośliwe, okrutne kłamstwo. Ten człowiek chorował na reumatyzm i ciotka po prostu go leczyła, ale wstrętna baba uparła się, że ciotka rzuciła na niego czary, i zaczęła podburzać całą wieś. Chodziła od chałupy do chałupy, mówiąc, że po jej mężu ciotka weźmie się za innych. Wystarczył tydzień takiego gadania i tłum puścił nas z dymem. - Przerwała, szukając wzrokiem jego oczu. - Babka i ciotka zginęły w płomieniach - dokończyła.

Rand zacisnął usta, wzrok mu stężał.

- Nie jestem w stanie zrozumieć ludzkiej głupoty.

- A ja owszem. Ludzie, nasi zwłaszcza, są wielce przesadni i zabobonni. Tak to po prostu jest. Ja też nie jestem od tego wolna. Są pewne sprawy, w które głęboko wierzę. Jednego

natomiast nigdy im nie wybaczę, że nie słuchali. Ciotka przysięgała, że jest niewinna, ale nikt jej nie wierzył. Uważali ją za czarownicę, tak jak jej matkę i matkę matki, i wszystkie kobiety w naszej rodzinie od nie wiadomo kiedy. Wedle nich, czarownica nie może mówić prawdy.

- I zabili ją?

- Zabili. Zabili za to, kim była, a nie za to, co zrobiła, bo nie zrobiła przecież nic złego.

- Wytłumacz mi coś, czego nie rozumiem. Jeśli ludzie mają cię za czarownicę, to czemu mimo wszystko przychodzą do ciebie po pomoc?

- Bo moje leki skutkują i na ogół nie dochodzi do konfliktów. Nie żyjemy ani w przyjaźni, ani w nienawiści, tylko tak, obok siebie. Ale od czasu do czasu następuje coś takiego, że... mam dość. Dlatego chcę wyjechać.

- A ostatnio zdarzyło się coś takiego?

Annie wzruszyła tylko ramionami. Oczami duszy widziała groźną sylwetkę Johnny'ego Harta, lecz nie chciała o nim mówić, a tym bardziej o złośliwych plotkach, które krążyły we wsi. Napawały ją obrzydzeniem, ale przylegały do niej jak błoto.

- Annie?! Wyglądasz dziwnie. O co chodzi? Ktoś cię... - Nie dokończył pytania, jęknął tylko boleśnie i złapał się za kark. Północka zaatakowała zniecka. Ostre pazury rozorały mu skórę na plecach,

- Głupie kocisko. Precz.

- Północka nie jest głupia, przeciwnie, jest bardzo mądra - zaprotestowała Annie, dodając w myśli, że najlepszym tego dowodem jest fakt, że uratowała ją właśnie od kłopotliwej odpowiedzi.

- Głupia - powtórzył Rand. - Przy pierwszej sposobności skreć jej kark.

- Tylko bez gróźb. Nie strasz mojej kotki.

- To nie groźba, lecz zapowiedź. - Rand znów krzyknął boleśnie. - Ugryzła mnie! Ta bestia mnie ugryzła.

- Dobrze zrobiła.

- Zdejm ją ze mnie.

- To się obróć.

- Nie znoszę kotów, nienawidzę - mruknął, ale obrócił się, jak kazała.

Annie zaczęła głaskać ulubienicę i przemawiać do niej łagodnym tonem.

- Puść go i nic się nie bój. Pani cię obroni, nie pozwoli skrzywdzić. Dobra kotka, dobra.

Północka dała się wziąć w ramiona swojej pani, ale na pożegnanie raz jeszcze przejechała pazurami po plecach Randa.

- Głupi kot - powtórzył, patrząc podejrzliwie na właścicielkę i jej pupilkę. - Jak wszystkie koty - ciągnął. - Dziwię się ludziom, że trzymają koty, a nie psy. Psy są znacznie lepsze.

- Wcale nie.

- Przewyższają koty pod każdym względem.

- Na przykład jakim? - odparła Annie wyzywająco.

- Każdym. Mógłbym przedstawić całą listę.

- Na razie nie usłyszałam nic konkretnego.

- Niech ci będzie. Psy nie rzucają się na człowieka z pazurami.

- Tylko gryzą! Dziwię się, że taki duży i silny mężczyzna boi się kocich pazurków.

- Po wtóre, psy są wierne i oddane właścicielom, a koty nie. Człowiek ich nie obchodzi.

- Nieprawda. Północka bardzo mnie kocha, tylko na swój sposób. Jest po prostu niezależna. Koty mają swoją godność, podczas gdy psy tylko błaznują.

- I co w tym złego? Sama radość, przyjemnie popatrzeć. Pies potrafi rozbawić człowieka, a ta twoja Północka? Rozbawiła cię kiedyś?

Annie popatrzyła na zadrapania zadane przez Północkę Randowi i tylko uśmiechnęła się do siebie.

- Widzę, że moje rany sprawiają ci przyjemność. Sadystka! - zagrzmiął Rand.

Annie zaczęła chichotać, a Północce zdruzgotało się chyba w ramionach właścicielki, bo zaczęła się wiercić. Annie pozwoliła jej zeskoczyć na podłogę, ale zwierzę z miejsca wspięło się na półkę, przysiadło i bacznie obserwowało izbę, a gdy Rand spojrzał podejrzliwie, zaczęło lizać łapę, jakby chciało dać do zrozumienia, że zawiesza działania wojenne.

Wystarczyło jednak, by odwrócił wzrok, a kotka znów zaatakowała. Tym razem przypięła mu się pazurami do piersi.

- Tego już za wiele! - zawołał. Złapał bestię za kark i wcisnął w ramiona Annie. - Zrób z nią coś, przywiąż, zamknij albo wyrzuć. Przysięgam, że następnym razem ją ugryzę.

- Nie wiem, co się z nią dzieje. - Annie pogłaskała pupilkę. - To najłagodniejsze zwierzątko na świecie. Mam ją od roku. Przybłąkała się wkrótce po śmierci mamy. Nigdy na nikogo nie napadała.

- Czekala na mnie - mruknął Rand, rozmasowując zadrapania. - A szczerze mówiąc, to nie jej wina, tylko twoja.

- Moja?

- A kto rzucił na mnie tę... kłatwę? - syknął ze złością.

Annie w świętym oburzeniu miała ochotę skoczyć na niego z pięściami, opanowała się jednak. Postawiła kotkę na podłodze.

- Idź do kąta - poleciła i pogroziła jej palcem.

Zdumiała się, że Północka posłuchała od razu. Zwierzę wyprężyło ogon i pełnym godności truchtem skierowało się do koszyka, w którym zwykle drzemało. Zjeżyło się tylko groźnie, mijając Randa.

- Chyba cię nie lubi - skomentowała Annie.

- To i dobrze, niech się trzyma ode mnie z daleka. - Rand

znów kichnął i zaczął się drapać po piersi. - Daj mi trochę tej maści. Swędzi mnie tak, że nie wytrzymam.

- Biedny chłopiec - zaszydziła Annie, sięgając po słoik z mazidłem. - Ściągnij koszulę... O matko! - zawołała, szczerze poruszona nie tyle widokiem głębokich ran zadanych przez Północkę, ale niebывałą wysypką. Rand puchł w oczach. To nie było zwykłe podrażnienie, lecz coś znacznie... poważniejszego. Annie aż zaniemówiła z wrażenia.

Wielkie nieba. Jeśli to dzieło Północki, to coś musiała mieć na łapach. Pewnie wlała w coś, co było na stole - kołatało jej w myślach.

- Maść już nie pomoże - oceniła rzeczowo. Musisz wziąć kąpiel z owsa i ziół. Czujesz pieczenie?

- Piecze jak diabli i swędzi tak, że można się zastrzelić. Powiadasz, że kąpiel pomoże?

- Tak sądzę.

- Daj mi wiadra, skoczę po wodę.

- Nie trzeba. Lepiej będzie stopić trochę śniegu. Ja przyniosę, a ty weź wannę i ustaw przy ogniu. Tylko uważaj, jest ciężka.

Zabrali się do roboty. Rand cierpiał coraz bardziej. Piekiło go całe ciało, z trudem wytrzymywał swędzenie. Chcąc mu ulżyć i zaprzętnąć czymś jego uwagę, Annie wróciła do debaty na temat psów i kotów.

- Koty są lepsze, bo nie chrapią tak jak psy.

- A psy strzegą domu. Szczekają na obcych.

- Koty nie tarzają się w błocie. Pies nie dość, że się utyła, to przynosi błoto do domu.

- A koty rzygają.

Annie zabrakło argumentów, ale jeszcze nie kapitulowała. Wysłała po śnieg. Napełniła dwa gary, a gdy wróciła, wytoczyła argument, jej zdaniem, nie do odparcia.

- A moja kotka załatwia się w specjalnym koszyczku, podczas gdy z psem trzeba wychodzić na śnieg i czekać z pół

godziny, nim się wylata i wybierze wreszcie miejsce, żeby się wysikać.

Zabrzmiało to tak komicznie, że Rand zaczął się śmiać z całej duszy, zapominając o dolegliwościach, a o to Annie chodziło.

- Psy zawsze się cieszą, gdy właściciel wraca - wyłożył kolejny argument.

- A koty są tyle mądre, że wiedzą, iż właściciel wychodzi tylko na trochę.

- Psa można nauczyć różnych sztuczek.

- A i owszem, tylko to trwa, a koty uczą się od razu.

- Jeśli im się chce, co się rzadko zdarza. Zwykle patrzą na człowieka jak na głupiego, po czym zadzierają ogon i odchodzą.

Niestety, miał rację. Annie znów zabrakło argumentów, Spojrzała na wannę, do której cały czas wlewali garnki gorącej wody ze stopniałego śniegu.

- Chyba wystarczy. Wrzucę teraz trochę płatków owsianych i ziół i gotowe, możesz wskakiwać.

- Wspaniale - ucieszył się i zaczął rozpinać spodnie.

- Chwileczkę, nie będziesz chyba paradował nago na moich oczach! - wykrzyknęła.

- Wrzucaj wreszcie to zielsko, już nie mogę wytrzymać - rzekł i stanął tak, jak go Pan Bóg stworzył.

## 5

**Wielkie nieba!** - zawołała Annie, odwracając się jak rażona piorunem.

- Nie krzycz tak wniebogłoso! - Nawet gdyby miał to zrobić na oczach królowej Anglii i prezydenta Stanów Zjednoczonych, Rand też nie zawahałby się ani chwili i stanąłby nago. Piekło go tak, że myślał tylko o jednym, żeby zanurzyć się w wannie. - Uspokój się, kobieto, i nasyp wreszcie tego, co trzeba, do wody.

Ledwie jednak wszedł do wanny, zdał sobie sprawę, że nie da rady zanurzyć pleców, nie przeciwstawiając się świętej zasadzie skromności.

- Do diabła! - zaklął.

- Co się stało? - Annie, z koszykiem ziół w ręku, stała odwrócona do niego plecami.

- Nic, szkoda tylko, że nie masz większej wanny - odparł Rand, sięgając po koszulę. Upiął ją na biodrach. - Możesz się odwrócić. Zasłoniłem, co trzeba. No, odwróć się wreszcie - ponaglił, gdy Annie w dalszym ciągu usiłowała podejść tyłem. - Będzie szybciej.

Usłuchała. Nabrała pełne płuca powietrza i odwróciła się.

- Och! - Wypuściła całe powietrze, zerkając ciekawie na nagą postać mężczyzny. W wielkich jak spodki oczach pojawił się błysk zachwytu.

W innych okolicznościach Rand zapewne zaczęłyby się wdzięczyć, teraz jednak myślał wyłącznie o piekącej skórze i marzył, żeby się zanurzyć.

- Annie, proszę.

Spuszczając skromnie oczy, sięgnęła do koszyka.

- Płatki owsiane, suszony i mielony rdest oraz polny szczaw - wyjaśniła, wrzucając garści ziół do wody. - Musisz w tym poleżeć dwadzieścia minut albo lepiej pół godziny, a potem natrę cię tą maścią co przedtem.

Rand patrzył z zainteresowaniem. Wzdrygnął się jednak, gdy od ziół woda zrobiła się zielona.

- A nie wyjdę z tego szmaragdowy jak koniczyna? - spytał z obawą.

- No, może gdybyś był Irlandczykiem - zażartowała, nawiązując do narodowych barw dublińczyków - ale jesteś Teksańczykiem, więc co najwyżej zrobisz się żółty.

- Co to, to nie - oburzył się. Żółć, wiadomo, znamionuje tchórza. - To nie ja! - zawołał z mocą, jednym ruchem zerwał zaimprovizowaną przepaskę z bioder i z całą godnością, na jaką pozwalały okoliczności, zasiadł w wannie.

Annie splonęła rumieńcem.

Woda sięgała Randowi ledwie do bioder. Zaczął więc pluskać się, oblewając garściami palącą pierś. Nieznośne pieczenie natychmiast zelżało, ale do pleców nie był w stanie sięgnąć, a piekły strasznie. Jedyna rada to położyć się w wannie. Kłopot tylko w tym, że cały się nie zmieści. Żeby ugasić pożar pleców, musiał wyciągnąć nogi poza wannę.

Zawahał się. Pozycja, którą musiałby przybrać, wystawiała na niebezpieczeństwo intymne części ciała. Rand wołał nie ryzykować.

- Annie, przypilnuj kota, proszę.

- Północka nic ci nie zrobi - odparła, bacząc, by nie odwrócić oczu w jego stronę. - Doleję chyba wody. Mam jeszcze dwa garnki.

Gdy podeszła do pieca, Rand spróbował wcielić w życie plan ratowania pleców. Wystawił nogi... na próżno. W wąskiej wannie szerokie bary nie chciały się zmieścić. Próbował bokiem, też bez skutku. Plecy nadal paliły.

- Trzeba by być człowiekiem gumą - mruknął. Niestety dopieknęła Północka, która przysiadła na skraju wanny i gapiła się na Randowe klejnoty, więc natychmiast powrócił do poprzedniej, siedzącej, pozycji, obrzucając kotkę nienawistnym spojrzeniem. - Nie da rady! - zawołał do Annie. - Weź kubek, proszę, i polej mi plecy,

- Mowy nie ma.

- Dlaczego?

- Bo zobaczę...

- Tylko plecy, a resztę, jak zechcesz, a jak zechcesz, to nie będę miał nic przeciwko temu. - Roześmiał się.

Annie mruknęła tylko gniewnie, ale wzięła kubek, przykucnęła przy wannie za jego plecami i zaczęła polewać go wodą.

- Czarownica.

- Bezczelny.

- Cierpiący. Piecze mnie strasznie. Polej mocniej, *hynyguk-kis*, błagam.

~ Co proszę?

- *Hynyguk-kis*, nie znasz? To przecież po szkocku. Takie czułe słówko. Nauczyłem się w Inverness - rzekł z dumą.

- Ciekawe, czego jeszcze? - syknęła z przekąsem, pracowicie polewając go wodą.

A Rand aż pojękiwał z rozkoszy. Zioła czyniły cuda. Strugi ciepłej wody łagodziły pieczenie.

Po kwadransie całkiem ustało, ale Annie nadal pracowicie

polewała go po plecach i piersiach. Trzy kubki na plecy, jeden na piersi. Rand wzdychał tylko, coraz bardziej zachwycony, coraz bardziej wniebowzięty.

Woda koiła ciało, delikatny zapach różanych płatków wypełniał nozdrza, szelest kobiecej sukni pieścił uszy, a oddech Annie kładł się zwiewnymi pocałunkami na plecach i karku, budząc zmysły. Zadygotał, podniecony do granic, gdy pochyłona nad wanną, bezwiednie musnęła go piersią.

- Woda za zimna? - zatroskała się.

Nonsens! Jeszcze chwila, a wanna zacznie wrzeć od rozpalonego ciała - pomyślał, ale na pytanie odpowiedział przewrotnie.

- Nie, w porządku, tylko przydałby się jeszcze jeden albo dwa garnki wrzątku.

- Hm... - Spojrzała nań podejrzliwie. Usłyszała szelest sukni i szcęk naczynia odstawianego na podłogę. Annie podniosła się z kolan. - Opuchlizna zesza, wysypka też - oceniła rzeczowo. - Wychodź z wanny, wytrzyj się, posmaruj cię maścią.

Dotyk kobiecych dłoni na spragnionym ciele... też niezła perspektywa.

- Już wychodzę. - Gdy stanął na równe nogi, skonfundowana Annie krzyknęła i obróciła się na pięcie. - Daj mi ręcznik - poprosił.

Podeszła do bieliźniarki, wyciągnęła ręcznik i nie patrząc, rzuciła za siebie. Rzut był niecelny; ręcznik nie sięgnął celu, wylądował na podłodze tuż przy ogniu.

- Uwaga! - zawołał Rand, wyskakując z wanny, bo ręcznik zaczął się tlić.

Zaalarmowana, Annie odwróciła się, spojrzała na ręcznik i przeniosła wzrok na nagiego mężczyznę. Spojrzała!

A on zareagował tak jak każdy Teksaszczyk, co ma żyłach krew, a nie wodę: stanął na baczność! Wyprężył się w całej swojej męskiej okazałości, Z uczuciem dumy, że okazałość

jest naprawdę okazała, i przekonaniem, że jednoosobowa publiczność musi zemdleć z wrażenia.

Przewidział trafnie.

Annie z wolna dochodziła do siebie. Nie otwierając oczu, ogarnęła sytuację. Było jej ciepło i nader przyjemnie. W objęciach Randa czuła się tak bezpiecznie...

Siedział na bujanym fotelu przy kominku i trzymał ją na kolanach. Jego nagi tors pachniał jak poranna rosa w wiosenny poranek, serce biło w takt najśodszej kołysanki, a Annie pragnęła tylko, aby ta czarowna chwila trwała całą wieczność.

Ale ocknęła się. Otworzyła oczy, chciała wstać.

- Wszystko dobrze, kochanie - usłyszała. - Odpocznij jeszcze. Nic się takiego nie stało. Nabiłaś sobie tylko guza o kant stołu, gdy straciłaś przytomność. Ale nic ci nie będzie, nie martw się.

Wcale się nie martwiła, a jeśli już, to nie o guza na głowie, lecz o serce. Biło jakoś dziwnie, inaczej, i płynęło odeń jeszcze dziwniejsze, nieznane uczucie ciepła, ogarniające całe ciało, a na usta cisnął się jęk rozkoszy. Jak to nazywają? Pożądanie!

Właśnie. Co prawda skromne w tej mierze miała doświadczenie, wręcz żadne, ale rozpoznała bezbłędnie - pojęła, że pragnie Randa Jenkinsa, pragnie całą duszą i ciałem, on zaś pragnie jej, boć przecież ogrom jego pragnienia widziała na własne oczy. I co teraz?

Zrobić to! Zrobić to tu i teraz. Pozbyć się „dziewiczej krwi” i raz na zawsze zamknąć ten rozdział.

Serce zabiło jej mocniej. Lepiej niech to będzie on, mężczyzna, którego pragnie, niż ktoś, kto zakradnie się tu w nocy, a poza tym, cóż... i tak miała złą opinię, więc niczego nie straci.

Pragnęła poddać się zmysłom, kusiło ją, żeby to zrobić, ale w głębi duszy wiedziała, że postąpi jednak inaczej. Rand

obiecał przecież, przyrzekł, że zabierze ją do Teksasu, a tam czeka na nią nowe życie. Nie sięgnie tam ani zła sława, ani złe języki, a Annie nade wszystko pragnęła żyć normalnie, cieszyć się szacunkiem jako kobieta i człowiek. Jeśli jej na tym naprawdę zależało, musiała powściągnąć żądze, wytłumić zmysły i opanować gorączkę serca.

Rand nie ułatwiał jej zadania, nie zrobił ani jednego fałszywego ruchu. Głaskał delikatnie jej ramię, a ona chłonęła jego oddech, zapach i dotyk. I choć natężyła całą wolę, zbierała wszystkie siły, nie potrafiła się zmusić do tego, by uwolnić się z jego objęć. Westchnęła tylko i jeszcze mocniej wtuliła się w ramiona, w których czuła się tak cudownie, tak dobrze i tak bezpiecznie... i tak niebezpiecznie.

- Już ci lepiej? - spytał głosem drżącym z podniecenia.

Przytaknęła. Mimo guza na głowie od dawna, bardzo dawna, nie czuła się tak dobrze jak właśnie teraz.

- Nie chciałem cię przestraszyć, słonko, ale jesteś bardzo piękną kobietą i patrzyłaś na mnie tak... no wiesz... - zająknął się, szukając w myślach właściwych słów - rozumiesz... męskie ciało ma swoje prawa, ale zapewniam cię... nie musisz się lękać, nigdy cię nie skrzywdzę.

- Wcale mnie nie przestraszyłeś.

- Ależ, Annie, przecież zemdlałaś?!

- Wcale nie. - Zmarszczyła zabawnie nos. - My, czarownice, nigdy nie mdlejemy, udawałam.

- Udawałaś! - Roześmiał się. - A po co?

- Bo damy zawsze mdleją, a ja chcę być damą. Gdy znaję się w Teksasie, koniec z czarami, będę damą.

- I uda ci się?

- Ależ oczywiście - odparła z przekonaniem. - Już jestem, tylko ludzie nie chcą w to uwierzyć.

- Pytałem, czy można przestać być czarownicą- wyjaśnił Rand, marszcząc czoło.

Na tak postawione pytanie Annie nie miała odpowiedzi i niezbyt się tym zmartwiła. Nie była czarownicą, więc kwestia, czy z tej profesji można się wycofać, czy nie, jej nie dotyczyła.

- W moim przypadku tak.

- Rozumiem.

Zapadła cisza. Przez dłuższą chwilę siedzieli bez ruchu, pogrążeni we własnych myślach. Annie zdawała sobie sprawę, że powinna wreszcie wstać, bo nie ma żadnego uzasadnienia, aby trwać w jego objęciach, ale tak dawno, tak strasznie dawno nie tuliła się do nikogo, a czegoś takiego jak dziś nie zaznała jeszcze nigdy, bo nigdy w życiu żaden mężczyzna nie trzymał jej w ramionach, a to takie cudowne, takie wspaniałe i takie... ryzykowne.

Wielkie nieba. Jak na kobietę, która nade wszystko pragnęła być damą, zachowywała się co najmniej niestosownie. Westchnęła. Czas położyć kres... szaleństwu.

- Co się dzieje? - spytał Rand.

- Damy nie siadają na kolanach, a zwłaszcza na kolanach nieubranych mężczyzn - odparła, próbując wyzwolić się z jego ramion. - To niestosowne - powtórzyła głośno to, o czym przed chwilą pomyślała.

- To zależy od okoliczności. - Przytrzymał ją. - Zaczniemy od tego, że byłem chory, a ty się mną zająłaś. U lekarza też trzeba się rozebrać, to żaden wstyd. Jeśli więc spojrzeć na sprawę z tego punktu widzenia...

- Ale żaden lekarz nie siada na kolanach pacjenta - ucięła.

- A szkoda, bo to znakomite lekarstwo. Mnie przynajmniej pomogło. A poza tym nie jestem nagi. Zdażyłem owinąć się kocem. Wdziąłbym także spodnie, gdyby nie ta twoja bestia.

- Północka?

- A któż by inny. Urządziła sobie posłanie w moich portkach. Dobrze, że nie miałem ich na sobie, gdy zebrało jej się na drzemkę - zażartował.



Annie zaśmiała się, a on jakby nie słyszał, patrzył na jej usta.

- Nie boisz się mnie? - spytał cicho po chwili.

- Nie. Obiecałeś, że mnie nie skrzywdzisz. - Przesunęła językiem po nabrzmiałych i suchych od emocji wargach.

- A ty?

- Ja? - zdziwiła się Annie.

- Powiadają, że pocałunek czarownicy ma straszliwą moc. Może przemienić człowieka w żabę. Powiedz mi, czy resztę życia spędzę w stawie u Sary, kumkając wieczorami?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie odpowiedział, ale jego wzrok mówił wszystko - zdecydowany, podniecający i groźny.

- Zamierzam cię pocałować, Annie Munro, i daję słowo, że jeśli przemienisz mnie w żabę to... to... będziesz miała kurczaki - zagroził, nawiązując do odwiecznego przekonania, że dotknięcie ropuchy fatalnie wpływa na skórę. I zaraz po tym romantycznym oświadczeniu zapieczętował jej usta swoimi ustami i cały świat przestał istnieć.

Ten, który Annie znała do tej pory, przestał istnieć, zawałił się jak domek z kart i odszedł w przeszłość na zawsze.

Pocałunek jak zaklęcie przeniósł ją w świat pełen cudów, jakby usta Randa Jenkinsa miały czarodziejską moc. Gdy gorącymi wargami pieścił jej wargi, a niecierpliwym językiem wypełniał wnętrze, całe jej ciało ogarniała fala podniecenia, a na usta cisnęły się tylko słowa pożądania.

- Rand - szepnęła.

A on wnikał w nią jeszcze goręcej, jeszcze łąpczywiej i głębiej, głodny i spragiony jej całej. Przywarła do niego rozpalona i drżąca, poddając się pieścizocie, która niosła ją w świat czarów, gdzie władzę sprawują zmysły.

Nie znała go, ale instynktownie znajdowała drogę, naśladowując Randa we wszystkim, co czynił. Ustami śpieszyła na spotkanie jego ust, językiem szukała jego języka, całą sobą

przywierała do niego, tak że tworzyli jakby jedno ciało, splecione gorączką, pragnieniem i oczekiwaniem.

A gdy, wiedzona instynktem, wsunęła się jeszcze głębiej w jego uda, jęknął tylko z cicha i oderwał od niej usta.

- Wielkie nieba - westchnął, jakby wracał z dalekiej podróży. - Wy, czarownice, macie naprawdę niezwykłą moc. Żał pomyśleć, ile lat straciłem, umizgując się do zwykłych śmiertelniczek.

Annie też wróciła z dalekiej podróży. Zerwała się na równe nogi, serce jej biło tak, jakby miało się wyrwać z piersi. Patrzyła na niego oczami jak spodki, prawą dłonią skrywając usta, złęknioma i oniemiała.

- Annie?

- Ja... ja...

Rand wstał z fotela, przytrzymując kraciasty koc, którym owinał biodra, nim jeszcze świat zamknięty w izbie nie ogarnął obojga zmysłowym kręgiem. Kraniec koca przerzucił przez ramię jak tartan albo *feileadeh-mór*, noszony w jeszcze dawniejszych czasach, nim pojawił się tartan, a po nim kilt. Annie patrzyła w niemym zdumieniu, w sercu tylko kołatała jej zrazu niewyraźna, a później coraz bardziej jasna myśl, że oto spełniają się jej najskrytsze i najśmielsze marzenia.

- Wyglądasz jak... jak prawdziwy szkocki wojownik - odezwała się.

- Tak uważasz? - Rand spojrzął po sobie z niejaką dumą. - Próbowałem to najpierw upiąć na kształt rzymskiej togi, ale nie wyszło, więc przewiązałem pasem jak kilt, tę waszą spódniczkę. Uznałem, że tak będzie najbezpieczniej, to znaczy... - zaśmiał się - żebyś znów nie zemdląła! - Przesunął dłonią po szorstkiej tkaninie. - A swoją drogą nie zazdroszczę tym, co nosili to na co dzień. Drapie strasznie. Słowo daję, skórzana przepaska na biodra jest znacznie lepsza. Wiem coś na ten temat. Miałem kiedyś przyjaciółkę pół-Indiankę, pokazała mi,

jak wygodny jest ten rodzaj okrycia, zwłaszcza w pewnych okolicznościach.

Usta Annie ułożyły się w podkówkę. Z miejsca pojęła, o jakich to okolicznościach mowa, i poczuła ukłucie zdrości w sercu, a jednocześnie rozogniona wyobraźnia podsunęła jej obraz Randa Jenkinsa odzianego w skórzaną przepaskę na biodrach i nic poza nią. Uznała, że jawiłby się równie ciekawie jak w *feileadeh-mór*. Mając jednak wybór między Randem czerwonoskórym, a Randem Szkotem, zdecydowała się na tego drugiego. Ten bowiem istniał realnie, stał obok, na wyciągnięcie ręki. Jakże go pragnęła! Jakże kusiło ją, by zlec razem z nim na kobiercu przy kominku, sycić zmysły i serce.

Nic jednak nie powiedziała i nie uczyniła żadnego ruchu. Przymknęła tylko oczy, przywołując w pamięci jego usta. Pocałunek otworzył przed nią nowy świat i niczego już nie pragnęła tak, jak być z Randem, zespolić się w jedno, być nim, a on żeby był nią. I zdała sobie sprawę, że stało się coś wielkiego, coś szczególnego i niepowtarzalnego, że go kocha.

Wielkie nieba, Annie Munro, coś ty narobiła, dziewczyno?!

Jak to się mogło stać tak nagle? Ledwie wczoraj zobaczyła go po raz pierwszy. Nigdy w życiu nie działała tak pochopnie. Ale, jak to mawiała mama, kobiety z rodu Munrów z miejsca poznają bratnią duszę. Mama też zakochała się w ojcu od pierwszego wejrzenia.

Właśnie. Ja przynajmniej odczekałam cały jeden dzień.

A więc kochała. Niestety. Miłość bowiem niosła nowe problemy. Do tej pory chciała tylko, by Rand zabrał ją ze sobą do Teksasu, teraz będzie pragnąć więcej - żeby ją poślubił. Właśnie! Tylko jak to zrobić, skoro sam powiedział, że na myśl o ślubie mróz przechodzi mu po krzyżu.

## 6

Na taką pogodę nie ma nic lepszego jak talerz gorącej zupy - oświadczył Rand sentencjonalnie, nabierając pełną łyżkę. Przełknął ze smakiem i dmuchnął w obłok aromatycznej pary unoszącej się z talerza.

- Nadal pada? - spytała Annie obojętnym głosem.
- Prószyno, gdy wyglądałem ostatnim razem.
- To i dobrze - skwitowała, mieszając łyżką w talerzu.

Rand zmarszczył tylko czoło. Niepokoił się o Annie. Zachowywała się dziwnie od samego rana, a szczerze mówiąc od wczoraj, od kiedy ją pocałował.

Nie powinienem był jej całować - wyrzucał sobie, wpatrując się w kawałki marchewki, które przyłgnęły do łyżki. Minał cały długi dzień, a nadal czuł smak jej ust. Nie zmąciła go ani zupa, ani nawet to okropne lekarstwo, które uwarzyła i dała mu do wypicia z samego rana. Było strasznie gorzkie, piekło w gardle i w żołądku żywym ogniem, lecz zdziałało cuda i nie zamieniłby tego piekielnego płynu na najlepszy francuski szampan. Łzawienie z miejsca ustało, wysypka też, a od dwóch godzin, od chwili gdy Annie zaaplikowała mu ową miksturę, nie kichnął ani razu, nawet wtedy, gdy ta jej bestia Północka

wlazała mu za koszulę. Annie też powinna być zadowolona, że wymyśliła wspaniały lek. A jednak nie była. Wszystko wskazywało na to, że się martwi.

Czym?

Czyby też myślała o tym, co stało się wczoraj, tak jak on? Śnił o niej przez całą noc i był to cudowny sen. Gorący, namiętny, rozpalający wyobraźnię i zmysły do białości. I niczego nie pragnął tak, jak tego, by przygarnąć ją do siebie. Wiedział, że mógłby to zrobić, skorzystać z okazji, ale nie miał sumienia.

A z brzaskiem, gdy się ocknął, zobaczył, że Annie pakuje swoje rzeczy. Ona naprawdę szykowała się do wyjazdu i naprawdę uważała, że on ją ze sobą zabierze. Czyby rzeczywiście uwierzyła, że zdołała go omamić tym bzdurnym zaklęciem, czy tylko udawała.

Jeśli udawała, to nadzwyczaj przekonująco.

Udawała?

Dlaczego?

Bo grunt palił jej się pod nogami! Myślał o tym już wcześniej, w nocy, między jednym snem a drugim.

Annie Munro знаła się na ziołach, ale nie potrafiła kłamać, choć nawet o tym nie wiedziała. Kiedy zaczął się nad tym zastanawiać, doszedł do wniosku, że coś musiało się stać w czasie, gdy odwiedził ją wczoraj ów osiłek, który wybiegł z chaty z poparzoną twarzą. Wtedy właśnie coś się w niej zmieniło. Nie zwrócił na to od razu uwagi, bo miał swoje problemy, teraz jednak zastanowił się i przemyślał wszystko.

Jeśli miała kłopoty, to nie mógł jej tak zostawić. Z drugiej strony nie zabierze jej przecież ze sobą. Wystarczy, że raz przepłynął Atlantyk w towarzystwie kobiety. I nigdy więcej. Szlag by go trafił! Dosłownie i fizycznie. Bo nikogo tak nie pragnął, jak Annie Munro.

Na statku skazani byłiby na siebie. Nie wytrzymałby, to pewne, i rzuciłby się na nią, nie bacząc na nic. A dziewczyna

była jeszcze niewinna; co do tego też nie miał najmniejszych wątpliwości i gotów byłby się założyć się, choćby o flakon tej wspaniałej mikstury, która zdziałała cuda. Doświadczone kobiety nie rumienią się jak ta mała czarownica, nie patrzą oczami wielkimi jak spodki, a nade wszystko nie mdleją na widok męskich okazałości.

I nie całują tak jak Annie Munro.

Niech to diabli!

Jakiż to był pocałunek! Świeży jak poranek, słodki jak miód, a zarazem dojrzały jak pełnia lata i obiecujący jak wschodzący księżyc. Niewinny i uwodzicielski zarazem. Ale on - Rand Jenkins - wiedział jedno, że nie należy do tych, co żerują na niewinności. Owszem, chętnie sięgnąłby po miód, gdyby nie cena, a tej płacić nie chciał.

Ceną byłoby małżeństwo, a do tego kieratu po raz wtóry zaprzęgnąć się nie da. Mowy nie ma!

I z taką to myślą zajął się jedzeniem. Milcząc, wymiół talerz do czysta, skończył chleb i ser, otarł usta serwetką, poprawił się na krześle, odchrząknął i patrząc w oczy gospodyni, spytał:

- Powiedz mi, czego się boisz? Co się wczoraj stało? Co ci ten drab zrobił?

Łyżka wypadła z rąk Annie i z brzękiem potoczyła się po stole.

- Słucham?

- Nie jesteś czarownicą, Annie, i sama też o tym wiesz. Znasz się na ziołach i potrafisz leczyć, ale kłamać nie umiesz. Powiedz wreszcie prawdę, dlaczego tak ci zależy na wyjeździe?

Podniosła łyżkę i ułożyła ją starannie przy talerzu. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w stół, jakby tam szukała właściwych słów. Gdy wreszcie podniosła wzrok i spojrzała na Randa, jej oczy zalśniły twardo jak stal.

- Jeśli zostanę, wezmą mnie wbrew mojej woli.

- Wezmą? Gdzie cię wezmą? - zdumiał się Rand.

- Nigdzie. Zgwałcą.

Poczuł, że całe dopiero co zjedzone śniadanie podchodzi mu do gardła. Zerwał się z miejsca.

- Kto? Kto śmiałby to zrobić. Mów, już ja się tym zajmę! - wykrzyknął, zaciskając pięści.

- Na zabobon i uprzedzenia pięści nie pomogą. - Annie potrząsnęła głową ze smutkiem.

- Przekonamy się! - zawołał równie wojowniczo jak przed chwilą, patrząc pytająco na Annie. Gdy zrozumiał, że z jej ust nie padnie żadne nazwisko, obrócił krzesło i usiadł, wspierając ręce na oparciu.

- Wyłumacz mi, opowiedz wszystko od początku.

Opowiedziała, nie ukrywając niczego. O plotkach, pomówieniach, zabobonach, uprzedzeniach, złych językach i podłej ludzkiej naturze. Gdy skończyła, zrozumiał, dlaczego uciekała się do kłamstwa, dlaczego próbowała go szantażować, i... szczerze jej współczuł.

- I nie da się ich przekonać, że nie jesteś żadną czarownicą? - spytał, mając na myśli mieszkańców okolicy.

Annie potrząsnęła głową.

- Muszę wyjechać, to jedyne wyjście. Obiecałeś, że mnie zabierzesz, i nie cofaj raz danego słowa.

Nie zamierzał zostawiać jej na pastwę losu, lecz też nie zamierzał darować oszustwa.

- Sekundę, porozmawiajmy. To prawda, że umówiliśmy w sprawie wyjazdu, ale prawdą jest też, że mnie oszukałaś. Twierdziłaś, że rzuciłaś na mnie czary, a przed chwilą przyznałaś, że to kłamstwo. Umowa jest więc nieważna, każdy sąd to potwierdzi.

- Zostawisz mnie więc w potrzebie?

- Znasz się na ludziach tak samo jak na czarach - zakpił. - Pozwól, że ci wyjaśnię parę spraw. Po pierwsze, nigdy nie cofam raz danego słowa i obiecuję, że ci pomogę. Nikt cię nie

skrzywdzi, nie mówiąc już o mnie, to ci obiecuję. Ale właśnie dlatego nie mogę cię zabrać ze sobą do Teksasu.

Annie milczała, nie wiedząc, o co mu chodzi.

- Widzisz, moja droga, jestem tylko człowiekiem, a człowiek, mężczyzna jak ja, ma swoje... nazwijmy to słabości. Rzecz w tym, słonko, że cię pragnę, ogromnie, jak nikogo w świecie, a więc wspólna podróż, a na statku nie da się nigdzie uciec ani ukryć, byłaby dla ciebie wielce niebezpieczna.

Do diabła, co znaczyły te iskiery w jej oczach?

- Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że... że... że ci się podobam?

- Nie zauważyłaś tego wczoraj?

Do diabła, co znaczył ten rumieniec na twarzy?

- No cóż... - Annie przymknęła oczy i oblizwała wargi, które nagle wydały jej się suche jak pieprz.

Rand sięgnął po szklanekę i wypił potężny łyk, a gdy Annie otworzyła oczy, miała nieodparte wrażenie, że lepiej niż woda zrobiłaby mu szklanka czegoś mocniejszego.

- A to coś złego? - spytała, nawiązując do poprzedniego pytania.

Łyk wody trafił nie w to miejsce, w które powinien, i Rand się zakrztusił.

- Annie! - zawołał, gdy wreszcie odzyskał mowę. - Czy ty nic nie rozumiesz? Robię wszystko, żeby cię oszczędzić.

- A gdybym tego nie chciała?

Nie czekając na zaproszenie, sam poderwał się z miejsca i sięgnął po butelkę whisky na półce.

- Niczego tu nie dodałaś? - upewnił się.

Gdy zaprzeczyła, nalał sobie sporą porcję, wypił jednym haustem i nalał drugą. Poczuł się lepiej.

- W porządku - spojrzał jej prosto w oczy. - Skoro mówimy szczerze, to mówmy do końca. To, co mi powiedziałaś o kosmyku włosów i dziewiczej krwi, upewnia mnie tylko, że... że

jesteś... niewinna. Wiem, że nie miałaś jeszcze mężczyzny, Annie, a ja... ja nie chcę odbierać ci dziewictwa, choć tak strasznie pragnąłbym pójść z tobą do łóżka. Gdybym to zrobił, musiałbym się z tobą ożenić, bo tak nakazuje honor, a mówiłem ci już, że na myśl o ożenku mróz przechodzi mi po krzyżu.

Annie uniosła się dumą, a jej odpowiedź zaskoczyła go zupełnie.

- Bardzo pana przepraszam, panie Jenkins, lecz nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek proponowała panu rozgrzewanie pańskich pleców.

Jako gentleman wstrzymał się od komentarza.

- Zastanówmy się - zaczął rzeczowo - co w tej sytuacji możemy zrobić. Zgadzasz się, że nie możesz tu zostać, musisz wyjechać, tylko czy koniecznie za granicę? Szkocja to duży kraj.

- Ale nie taki jak Teksas. Tu zawsze będę czarownicą.

Rand milczał, drapiąc się po głowie.

- Mam pomysł! - zawołał po chwili. - Jake! On nam pomoże. Gdy tylko przestanie padać, zabieram cię do Rowanclere. A tymczasem porozmawiajmy o kotach. Należy mi się to drugie lekarstwo, odtrutka.

Annie wstała z krzesła, zebrała naczynia ze stołu.

- To się nie da.

- Jak to się nie da? Dałem ci słowo, że cię nie zostawię bez pomocy, więc czas załatwić całą sprawę. Prawda, nie kicham, nie łzawię i nie muszę się drapać, ale te bestie w dalszym ciągu mnie napastują. Wystarczyło, że wyszedłem po wodę, i już zebrał się cały orszak. Musisz coś z tym zrobić.

Annie westchnęła głośno.

- To się nie da - powtórzyła. - Bo tego nie można ani zrobić, ani uwarzyć tak od ręki. Potrzebne są specjalne składniki, bez których odtrutka nie będzie działać.

- Jakież znowu składniki? - spytał Rand podejrzliwie.

Włożyła talerze do miski z wodą i wytarła ręce ściereczką.

- Potrzebna jest pierwsza woda.

- Pierwsza woda? - powtórzył Rand podejrzliwie, Niech to diabli, znowu coś wymyśliła!

Padło do południa, ale po dwunastej zadymka ustała i wyszło słońce. Promienie igrały w soplach lodu zwisających z dachu. Annie, spakowana i gotowa do podróży, siedziała w milczeniu na łóżku, dziękując w duchu za zmianę pogody. Oczywiście, nawet największa zawieja nie powstrzymałaby jej przed wyjazdem do Rowanclere, ale o ileż to przyjemniej jechać w słońcu niż w zadymce.

Popijała herbatę i układała w myślach spis ziół i leków, jakie trzeba zawieźć dla Gillian Delaney. W rękach pani na Rowanclere żadne się nie zmarnują.

Spod kominka dobiegało chrapanie. To Rand drzemał, rozciągnięty na kobiercu przy ogniu, a obok niego... Północks. Zwierzę ułożyło mu się przy plecach.

- Dobra kotka, dobra - pochwaliła ją Annie. - Leż tak i grzej go. Niech mu ten mróz przestanie chodzić po krzyżu.

Co za uparciuch z tego Randa. Gdyby wiedziała, że odniesie się tak niechętnie i podejrzliwie do *Hogmanay*, wybrałaby co innego, ale też jak nie skorzystać z okazji, skoro *Hogmanay* - wigilia Nowego Roku - przypada właśnie dziś, a *Hogmanay* ma przecież wielką moc. Mogła jednak przewidzieć, że Rand nie będzie chętny. „Przesady” - tak właśnie powiedział.

- Uparciuch - mruknęła po nosem.

- O mnie mówisz?

Spojrzała na niego zaskoczona. Kotka też już nie spała. Leżała wyciągnięta jak długa na jego piersi, pomrukując z zadowolenia, bo Rand głaskał ją po grzbiecie. A Annie

zrobiło się ciepło w sercu. Jak tu nie kochać takiego człowieka?! Uparty jak osioł, to prawda, irytujący, ale jakże podniecający.

Zebrało jej się na płacz ze wzruszenia, gdy tak patrzyła, jak Rand pieści kotkę. Po tym wszystkim, co ta mała bestia mu zrobiła! Jednocześnie z coraz większym przekonaniem postanawiała zrealizować swój plan, pokonując i wstyd, i wątpliwości, o których sumienie ciągle jej przypominało.

- A o kim innym miałabym mówić?

- Choćby o którymś z pacjentów. - Rand usiadł, a Północka usadowiła się na podłodze tuż obok niego.

- Nie mam już pacjentów. Zamykam interes.

- Właśnie o tym myślałem. - Rand potoczył wzrokiem po izbie. - Uważam, że nie powinnaś tego tak zostawiać. To wszystko może się przydać na nowym miejscu. Trzeba by to spakować. Sądzę, że Jake zgodzi się przechować to do czasu, aż znajdziesz dla siebie nowy dom.

Annie nie zdążyła odpowiedzieć, bo ktoś zastukał do drzwi. Rand zerwał się z podłogi i pośpieszył otwierać. Północka wskoczyła ma na ramię.

Jake Delaney - on to bowiem stanął w progu - aż się zaśmiał, widząc przyjaciela z kotką na ramieniu.

- To zwycięstwo czy kapitulacja? - spytał.

- Jedno i drugie - odparł Rand. - Wchodźże do środka. Co cię tu sprowadza w wigilię Nowego Roku.

- *Hogmanay* - poprawił go Jake. - Dzień dobry, Annie. - Uchylił kapelusza i wszedł do izby.

- Witaj, Jake. Napijesz się czegoś? - spytała uprzejmie gospodyni, choć doskonale wiedziała, że gość nie skorzysta z zaproszenia.

- Nie, dziękuję - odparł Jake i zaraz spojrzął na Randa, dzięki czemu nie widział wymownej miny, jaką Annie skwitowała jego odpowiedź. - Gillian z Sarą martwią się o ciebie - rzekł. - Nie mogłem już słuchać ich gadania, więc kazałem

osiodłać konia i przyjechałem sprawdzić, co się z tobą dzieje. Jak widzę, wszystko w porządku. Nie kichasz, oczy też nie łzawią. Dlaczego nie wracasz do zamku? Co stoi na przeszkodzie?

- Koty. Nie dają mi spokoju.

- Ten też? - Jake spojrzął wymownie na Północkę, która nie opuściła swego miejsca na ramieniu Randa. - Przyrósł ci do pleców czy co?

Rand pogłaskał Północkę, a ona zmrużyła oczy i zamiauczała rozkosznie.

- Niezupenie, pilnuje mnie, żeby inne bestie mi nie dokuzały. Za drzwiami czeka ich cała armia.

- Uzbrojona? - Jake zaśmiał się.

- A żebyś wiedział! Nie wyobrażasz sobie nawet, jak mnie urządziły pazurami.

Jake zmilczał, spojrzął tylko na przyjaciela, potem na Annie, potem znów na Randa.

- Jak rozumiem - odezwał się po chwili, cedząc słowa - ze strachu przed kotami ukryłeś się tu, u pięknej panny Munro?

- Masz pretensje?

- Ja nie, ale Sara... Już ona dobierze ci się do skóry. Pilno jej do Londynu i oczekuje, że będziesz jej towarzyszył. Starałem się, jak mogłem, jej to wyperswadować, ale nie chce mnie słuchać.

- Londyn, powiadasz, a to ciekawe. Nie planowałem podróży do Londynu... - Rand przerwał, spojrzął na Annie. - A ty co myślisz o Londynie? To chyba niezłe miejsce dla ciebie?

Annie poczuła ukłucie w sercu. Uparł się i nie zabierze jej do Teksasu, ale ona też była uparta.

- Nie, Rand, Londyn nie wchodzi w rachubę. Za dużo tam ludzi z naszych okolic. Zaraz mnie rozpoznają i znów zaczną się gadanie.

- Annie ma kłopoty z sąsiadami - wyjaśnił Rand na użytek

przyjaciela. - Mówią o niej niestworzone rzeczy, więc chce stąd wyjechać, a ja przyrzekłem jej pomoc. Czy mogłaby zatrzymać się u was, w Rowanclere, dopóki nie znajdziemy czegoś odpowiedniego?

- Ależ naturalnie, będzie nam bardzo miło, Annie... - Jake zawiesił głos i widać było, że rad by dowiedzieć się czegoś więcej, ale, jak na gentlemana przystało, o nic nie spytał. - A więc? Jedziemy?

- Ja byłbym gotów, ale Annie ma inne plany - pośpieszył z odpowiedzią Rand. - Chce mnie wypędzić na mróz o północy.

- Żebyś był pierwszym gościem, rozumiem. Gillian też na to liczy. - Jake obrzucił przyjaciela uważnym spojrzeniem i zwrócił się do Annie: - Dobry wybór pod każdym względem - pochwalił. - Wysoki, brunet, zdrowy, żadnych widocznych braków. Nie wiem tylko, jak z jego stopami. Hej, Rand, mam nadzieję, że nie masz płaskostopia, bo byłbyś na nic. Pierwszy gość musi mieć stopę tak zgrabną, żeby strumyk wody mógł pod nią przepłynąć. W *Hogmanay* nie ma nic gorszego, jak platfus, zez i zrosnięte brwi. To najgorsza wróżba.

- O czym wy, do licha, mówicie?

- O Szkocji i Nowym Roku - Jake zaśmiał się. - Bo widzisz, to ogromnie ważne, kto jest pierwszym gościem w Nowym Roku. Dobry przynosi szczęście, zły może sprowadzić na dom wszystkie nieszczęścia, chyba że podejmie się odpowiednie przeciwdziałania.

Annie podeszła do Randa, wzięła Północkę i przytuliła ją do piersi.

- Można, na przykład, odwrócić złe wróżby, wyrzucając kota z domu. Ale z Północką to się nie uda, bo zawsze wróci. Muszę więc zadbać, aby pierwszy gość był właściwą osobą,

- Zabobony i przesady. - Rand wzruszył ramionami. - W nocy też mam wziąć udział w podobnych bzdurach.

- To wcale nie bzdury - zgromiła go Annie. - Już o tym

rozmawialiśmy. Nie jestem czarownicą, ale wierzę, że czarownice istnieją, tak samo duchy, upiory, elfy, rusałki, utopce, wilkołaki i demony. Wierzę, że można mieć szczęście albo pecha, wierzę w przeznaczenie. Wierzę w to wszystko, w co wierzyli nasi przodkowie, nie tylko dlatego, że tak zostałam wychowana, ale dlatego, że to wszystko prawda.

- Opowiadasz głupstwa, słonko - uciał Rand. - Zgadzasz się ze mną, prawda? - To pytanie skierował do Jake'a.

- Mów za siebie, mój drogi. Ja w tym sporze udziału nie biorę. A jeśli wolno spytać - zwrócił się do Annie - to co jeszcze planujesz dla Randa na dziś. Rozmumiem, że ma być twoim pierwszym gościem, ale co jeszcze? Pytam dlatego, że Gillian zależy, aby Rand był również pierwszym gościem w zamku. Martwię się, czy zdąży.

- Bez problemu - pośpieszył z odpowiedzią jego przyjaciel. Wyciągnął rękę i pogłaskał Północkę po grzbiecie. Zabawa przy studni nie powinna potrwać długo, prawda, Annie? Bo widzisz, o północy ma się odbyć coś, co zwą pierwszą wodą - wyjaśnił Jake'owi. - Annie twierdzi, że dzięki temu koty przestaną mnie napastować. Nie bardzo w to wierzę, ale mam tak dość tych bestii, że pójdę na to.

- A więc Annie zada ci pierwszą wodę? - Jake uniósł brwi, a ona w lot pojęła, że przejrzał jej plany. Zmartwiała. - A do której studni idziecie? - spytał tymczasem.

- Do najbliższej, w Laichmoray.

Jake pogładził się po brodzie w zamyśleniu.

- Tak sobie myślę, Annie - odezwał się po chwili - że skoro wyprowadzasz się stąd, to pierwszy gość i tak nie ma dla ciebie znaczenia. W tej sytuacji moglibyście wybrać się do studni na podzamczu Rowanclere. Niewiele tam panien, a więc konkurencja będzie mniejsza, a i do zamku bliżej.

- Jakie panny, jaka konkurencja, o co tu chodzi, Annie?

Mówiłaś tylko, że zależy ci na tym, aby zaczerpnąć wodę ze studni zaraz po północy.

Spojrzała najpierw na Jake'a i milcząc upewniła się, czy nie zdradzi jej prawdziwych zamiarów.

- Tłumaczyłam ci już - zwróciła się do Randa - że pierwsza woda albo kwiat studni, jak niektórzy to nazywają, ma wedle naszych wierzeń szczególne właściwości. Rzecz jednak w tym, że liczy się tylko pierwsze czerpanie po północy, więc ludzie ścigają się, konkurują, jak powiedział Jake.

- A czemu panny?

- Bo do ich obowiązków w gospodarstwie należy troska o bydło, a krowy napojone pierwszą wodą dają więcej mleka.

Mówiła prawdę, ale nie do końca. Czekwała teraz w napięciu, co powie Jake, czy jej nie wyda. Ale on nie miał takiego zamiaru.

- A więc, Rand, powiem Gillian, że może się ciebie spodziewać krótko po północy. Będziesz naszym pierwszym gościem?

Rand spojrzał pytająco na Annie, a gdy ta przytaknęła, przyjął zaproszenie.

- A ty przygotowujesz go, jak należy? - Jake spojrzał na nią chłodno.

- Oczywiście, będzie miał i węgiel, i chleb, i whisky.

- I nie zapomnij, że najpierw ma złożyć wszystkim życzenia noworoczne, bo przed życzeniami nie wolno nic mówić. Znając Randa, nie będzie to łatwe, dlatego proszę cię, dopilnuj wszystkiego, żeby niczego nie popsuł. Bardzo mi zależy, a jeszcze bardziej Gillian, bo... spodziewa się dziecka i liczy, że pierwszy gość okaże się dobrą wróżbą.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła Annie, a Rand poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Spodziewa się dziecka! - zwołał szczerze uradowany. - A więc będziesz tą. Biedne maleństwo, gorzej trafić nie mogło.

Jeszcze przez chwilę obaj panowie przekomarzali się w takim właśnie stylu, po czym Jake ruszył do wyjścia. Na progu przystanął i spojrzał na Annie.

- Bądź tak miła i odprowadź mnie. Mam kilka pytań związanych ze stanem Gillian.

Sięgnęła po płaszcz, a Rand obrzucił przyjaciela podejrziwym spojrzeniem, czego ten zdawał się nie zauważać. Jego uwagę przykuła gromada kotów, kłębiąca się przed drzwiami. Rand zaklął, a gdy Annie i jego przyjaciel wyszli, starannie zamknął drzwi.

Przez chwilę Jake i Annie szli w milczeniu. Ona szykowała się w duchu na nieuniknione - jak myślała ~ wyrzuty i gorączkowo zastanawiała się, jak powinna zareagować. Powiedzieć prawdę? Ale czy Jake uwierzy? Czy jej nie zdradzi?

Tak doszli do miejsca, gdzie uwiązał wierzchowca. Tu wreszcie przemówił.

- A więc chcesz, żeby cię poślubił - ni to spytał, ni stwierdził. - I po to potrzebna ci pierwsza woda. Od Gillian dowiedziałem się sporo o szkockich obyczajach i wierzeniach, więc wiem, jak to sobie umyśliłaś. Jeśli Rand przyjmie łyk pierwszej wody z twoich rąk, to oczywiście zapada do ciebie miłością i ożeni się z tobą przed upływem roku, dobrze mówię?

Annie spuściła oczy, stopą wierceła dziurę w śniegu. Nadal się głowiła, jak zareagować. Uznała wreszcie, że lepiej niczego nie ukrywać.

- Wierzę, że będę dobrą żoną.

- Ale on nie szuka żony! - zawołał Jake półgłosem. - Wręcz nie chce. Raz się sparzył i poprzysiągł sobie, że nigdy więcej. Mówił ci o tym, prawda?

Zadrzała, udała jednak, że to z zimna.

- Owszem, opowiedział mi o rozwodzie i wiem, że bardzo cierpiał. Ale ja go nie skrzywdzę, a myślę, że potrafię go uzdrowić. Znam się na tym. Wiem, jak się nim zająć i... -



w oczach Annie załśniły łzy - tak bardzo mi na nim zależy. On jest taki... taki... niezwykle. Wiem, że potrafię go pokochać, i wierzę, że on mnie też kiedyś pokocha.

- Z pomocą pierwszej wody - zaszydził Jake, a gdy Annie nie zareagowała, zmienił ton. - Skłamałbym, gdybym powiedział, że podpisuję się pod wszystkimi szkockimi wierzeniami, ale wiem, że istnieją zaklęcia i że można na mężczyznę rzucić czary. Ale przestrzegam cię, żebyś tego nie robiła. Nie próbuj go usidlać ani za pomocą pierwszej wody, ani w żaden inny sposób, bo możesz tego gorzko żałować. Wcześniej czy później Rand odkryje prawdę i uzna, że go oszukałaś, a niczego tak nie nienawidzi jak kłamstwa, u kobiet zwłaszcza. Pamiętaj o tym, bo oboje możecie przegrać.

- Skoro tak uważasz, to dlaczego go nie ostrzegłeś?
- Dlatego - Jake uśmiechnął się nieznacznie - że widziałem, jak na ciebie patrzy. Możesz, Annie, postawić na swoim, bez żadnych czarów i zaklęć.
- Nie rozumiem.
- Znam Randa Jenkinsa nie od dziś. To nie ze strachu przed kotami zasiedział się u ciebie, a jeśli już, to skusiła go pewna zielonooka bestyjka.

Chwilę trwało, nim Annie pojęła, co Jake naprawdę powiedział.

- Nie jestem czarownicą, nie umiem rzucać czarów i zaklęć - oświadczyła z prostotą.
- A pierwsza woda?
- Rand i tak w to nie wierzy.
- W porządku, ale ty nie powiedziałaś mu całej prawdy. Uważaj. - Skoczył na konia i uchylając kapelusza na pożegnanie, dodał jeszcze: - Lubię cię, Annie, i wierzę, że będziesz dobrą żoną dla mojego przyjaciela. Tylko uważaj, nie oszukuj i nie kłam. Załatw to inaczej, jak kobieta. Wiem, że ci się uda. Mówię to i w twoim, i Randa interesie. Jestem pewien, że go zdobędziesz, i z całego serca życzę ci, żeby tak się stało.

I jeszcze jedno, życzę ci, żeby Rand pokochał cię dla ciebie samej, żeby to była prawdziwa miłość, a nie rezultat szkockich zaklęć.

Spiął konia i ruszył przed siebie. Annie odprowadziła go wzrokiem, przygarniając poły płaszcza. Czują bowiem, że ogarnia ją chłód i przerażenie.

A jeśli Jake Delaney miał rację?

Rand przyglądał się sabbatowi w wykonaniu jednej czarownicy. Patrzył na Annie i tylko kiwał głową ze zdumienia. Nie wierzył własnym oczom.

Przyjechali do wsi dwadzieścia minut temu. Wszystko już było gotowe. Rozciągnięta w poprzek ulicy wstążka wyznaczała miejsce startu do wyścigu z metą przy kościelnej studni. Do biegu szykowało się - jak policzył - co najmniej czternaście dziewcząt, ale teraz na miejscu zostały tylko cztery.

Wszystko za sprawą czarów Annie.

Wystarczyło, że spojrzała złym okiem i dziesięć dziewcząt po kolei zrezygnowało z wyścigu.

Rand nie wiedział, czy powinien pośpieszyć z gratulacjami, czy przeciwnie - skarcić Annie najostrejszymi słowami. Faktem jest, że gdy popatrzyła tymi swoimi oczami, dziewczęta zdejmował strach i zaczynały kryć się po kątach. Moc przesądu autentycznie go zdumiała, a reakcje mieszkańców wsi zirytowały. Omijali Annie, jakby była trędowata. Powinni się wstydzić. Czyż nie zachodzili do niej z błaganiem o radę i leki? I jak tu się nie dziwić, że tak bardzo chciała stąd wyjechać. Przy takim traktowaniu!

Im dłużej patrzył, tym większe ogarniało go obrzydzenie. To prawda, że Annie na swój sposób ich prowokowała - tu łypnęła spod powiek, tam pogroziła palcem - ale też gdyby ci ludzie nie mieli jej za czarownicę, i to najgorszą ze wszystkich, nie daliby się nabrać na takie gesty. Znał ją krótko, bardzo

krótko, ale był przekonany, że nie skrzywdziłaby nawet muchy. Jak to się dzieje, że ci ludzie, których przecież wyciągała z najgorszych chorób, tak się jej bali i tak nienawidzili. Naprawdę miała rację, że chciała stąd wyjechać.

Z pewnym oporem przystał na plan Annie dotyczący wyścigu do studni, gdy jednak zobaczył, jak jedna z dziewcząt - blondynka - na jej widok czyni znak krzyża, pozbył się wszelkich wątpliwości, a nawet wystąpił z dalej idącą propozycją.

- Słuchaj - szepnął Annie do ucha, gdy dzwony na wieży kościelnej zaczęły głosić koniec starego roku - a może lepiej będzie, jeśli wyciągnę colta i strzelę parę razy w powietrze?

- Nie, mój plan jest lepszy. Nikt się specjalnie nie zdziwi, bo w Nowy Rok tak można, a z drugiej strony umiesz to robić tak wspaniale, że dziewczyny opadną z sił.

- Wspaniale? Tak uważasz? - spytał, mile połączony.

- Ba... - Westchnęła. - I żebyś wiedział, nie będę tym zachwycona, ale trudno.

Rand miałby ochotę podrażnić temat, lecz oto dzwony kościelne uderzyły z nową siłą, wieszcząc początek nowego roku. Nad tłumem podniosła się radosna wrzawa.

- Biegniemy! - krzyknęła Annie, ruszając pędem przed siebie.

- Ileż to człowiek musi się napracować - mruknął Rand, podążając w jej ślady, i zaraz chwycił za ramię tę z konkurentek, która deptała Annie po piętach. Przyciągnął ją do siebie i wycisnął na jej ustach siarczysty pocałunek. Nie włożył w to zbyt wiele serca, a mimo to dziewczynie zmiękły kolana. „Wspaniale?” - z dumą wspomniął opinię Annie.

Ruszył za następną konkurentką. Biegając, zauważył kątem oka, że Annie miała rację - w dumie, który zebrał się wzdłuż trasy wyścigu, widać było wiele całujących się par. Jak ona to powiedziała? Zakołatało mu w głowie. Że nie będzie zachwycona? Zazdrosna czy co?

I z nową siłą ruszył przed siebie, ślubując w myślach, że tym razem włoży więcej serca w wyznaczone zadanie. Nie musiał. Nim bowiem zdążył chwycić przystojną rudowłosą pannę, która wysforowała się do przodu, kot, który zjawił się nie wiadomo skąd, skoczył jej na plecy i wplątał pazury w rude loki. Dziewczyna stanęła w miejscu, próbując spędzić napastnika.

Rand nie zwolnił kroku, przeciwnie przyspieszył, by dopaść kolejnej zawodniczki. W ferworze walki nie zauważył, że to Annie. Kusiło go, żeby ją też zatrzymać w wiadomym celu, ale się powstrzymał, pomny misji, jaką miał do spełnienia, zwłaszcza że Annie zostawała z tyłu za dwiema konkurentkami. Biegać to ty nie umiesz, moja mała czarownico. Rzucił się więc za nimi, posyłając jej tylko całusa na pocieszenie.

Droga wiła się między domami. Za zakrętem Rand niemal przystanął ze zdumienia. Nie wierzył oczom, bo widok, jaki się przed nim roztoczył, był zaiste niezwykły. Obie konkurentki leżały na śniegu i piszcząc wniebogłoso, toczyły walkę z gromadą... kotów.

- Piekło i szatani! - zaklął Rand pod nosem i już miał zamiar rzucić się na ratunek, gdy zauważył, że ofiarą kocie ofensywy padły panny, które najobrzydliwiej ze wszystkich zachowywały się wobec Annie. Zrezygnował więc z interwencji, tym bardziej że koty nie wytoczyły najcięższej broni - nie drapały, nie gryzły, tylko łąsiły się i plątały między nogami, nie pozwalając dziewczętom wstać.

Zaraz potem nadbiegła Annie i łapiąc go za ramię, pociągnęła za sobą. Po chwili byli już przy studni na kościelnym dziedzińcu, rozświetlonym trzema pochodniami. Ognie stwarzały iluzję ciepła, ale mróz był tęgi. Ze zdyszanych odechów unosiły się kłęby pary. Annie pochyliła się nad studnią i zajrzała w mroczną głębię tak pożądliwie i z taką nadzieją, jakby pierwsza woda

miała nie tylko moc odstraszenia kotów, ale spełniania wszelkich pragnień i marzeń. Taka właśnie myśl zaświtała Randowi w głowie, gdy ujrzał niezwykle blask w oczach dziewczyny.

Speszył się jak chłopiec przyłapany na podglądaniu, lecz w tej samej chwili jego uwagę zwrócił gwar dobiegający od ulicy. Nie mylił się - w ich kierunku skradał się co najmniej tuzin kotów.

- Pośpiesz się - ponaglił Annie. - Zaraz będzie tu całe stado kotów, a za nimi pewnie biegnie tłum konkurentek.

Annie nabrała haust powietrza, chwyciła za korbę i zaczęła opuszczać wiadro w głąb studni. Ręce jej drżały.

~ Przemarzałaś - zatroskał się Rand.

- Nie, to nie z zimna. Boję się.

- Boisz? A czego? - Podskoczył do niej i zerknął w ciemne wnętrze studni. - Przecież to ja mam się napić, a słowo daję, wcale mi się to nie uśmiecha. Już zmarzłem na kość, a woda pewnie lodowata. Chętnie zamieniłbym pierwszą wodę na pierwszą whisky.

Nie odpowiedziała na żart; pracowicie obracała korbą, a stary kołowrót pojękiwał boleśnie. Rand spojrział na jej sine od mrozu ręce.

- Wielkie nieba! - zawołał. - Włóżże rękawiczki, a ja wyciągnę to wiadro.

- Nie - zaprotestowała z przejęciem. - Mówiłam ci, że sama muszę zacerpnąć wody, bo inaczej wszystko na nic.

- Trudno - mruknął, ale coś w jej głosie go zaniepokoiło. Miał dziwne przeczucie.

- Nadal nie chce mi się w to wierzyć, ale... Obyś miała rację, że ta woda sprawi cud. Popatrz, przyjaciele wrócili... - Gestem wskazał gromadę kotów, łąszących mu się do nóg miauczących i pomrukujących. Dwa, przegowaty i łąciaty, przysiadły mu na butach.

- Mróz po krzyżu... niedoczekanie! - szepnęła Annie do siebie.

- Pośpiesz się - ponaglił Rand niecierpliwie.

Nie musiał, bo ze studziennej czeluści wychynał kubeł pełen krystalicznej wody. Rand chciał pomóc, ale Annie powstrzymała go stanowczym tonem.

- Nie, ja sama.

- O co tu chodzi, do diabła? - Nastroszył się. - To nie ty, ale ja mam kłopot z kotami i to ja mam się napić.

- Kłopoty to dopiero będziesz miał, gdy przyjmiesz wodę z rąk tej czarownicy - dobiegło z ciemności.

Rand już dawno zauważył, że wokół nich zgromadził się tłum gapiów, ale nie zwracał na to uwagi. Dopiero złośliwy rechot, jakim skwitowano uwagę, uprzytomnił mu, że lepiej będzie stąd odejść.

- Pośpiesz się i chodźmy. Jake i Gillian czekają na nas.

- Na ciebie, pierwszego gościa i dobrą wróżbę.

- Obym tylko dotarł tam bez kotów. Dajże wreszcie tę wodę.

Annie postawiła kubeł na ziemi, zza pazuchy dobiła mały cynowy kubek, zacerpnęła z wiadra i podała mu oburącz, patrząc na niego wzrokiem pełnym oczekiwania. Odwzajemnił spojrzenie i znów urzekły go głębokie, tajemnicze i pełne czaru oczy, oczy lśniące pożądaniem, oczy, w których gotów byłby się zatracić.

Serce biło mu młotem, ręce zwilgotniały. Jakby z daleka dobiegał go pomruk tłumu, który otaczał ich coraz ciasniejszym kręgiem. Nad głosami ludzi niósł się koci chór, jak pieśń odwagi i zachęty.

Annie Munro - rzekoma czarownica i winna grzechu kłamstwa kobieta- trzymała kubek w drżących dłoniach, mówiąc:

- Nowy rok to nowy początek. Niech to, co złe, odejdzie ze starym rokiem, a serce twe niech przepełni najgorętsza

miłość i oddali od ciebie wszelki chłód. Szczęśliwego nowego roku, panie Randzie Jenkinsie, i jeszcze wielu szczęśliwych lat. *Slainte Mhoire*.

- *Slainte Mhoire* - powtórzył. Jeszcze w Inverness nauczył się tego zwrotu, który w języku Celtów, dawnych mieszkańców tych ziem, oznaczał życzenia zdrowia.

I wziął kubek z rąk Annie Munro.

## 7

*Nie rób tego, Annie. Nie w ten sposób.*

Rand podniósł kubek do ust, a w duszy dziewczyny echem zabrzmiały słowa Jake'a Delaneya. *Uważaj, Annie. Nie w ten sposób.*

Serce biło jej młotem, ręce zwilgotniały od potu.

*Możesz go zdobyć, bez zakłąć i kłamstwa.*

Północka zamiauczała żałośnie.

*Żebyś nie żałowała.*

Rand przechylił kubek i miał już wypić pierwszy łyk, gdy Annie wytrąciła mu naczynie z dłoni.

- Nie! - zawołała.

Zawartość kubka - pierwsza woda - rozlała się miriadem kropel na gromadę kotów kotłujących się przy studni. Tłum zamarł, a po chwili, jak dzwon na trwogę, rozległo się zdumione wołanie:

- Patrzcie, patrzcie! Annie Munro zmarnowała pierwszą wodę.

Ale ona nic nie słyszała i Rand też nie słyszał, jakby świat wokół nich przestał istnieć. Patrzyli tylko na siebie, a ich serca biły spiesznie jak nigdy.

- Annie, co się dzieje, o co chodzi? - zabrzmiało nieuchronne pytanie.

I co miała odpowiedzieć? Jakie przywołać słowa?

- Chciałam... - zaczęła - tak bardzo chciałam... - Spróbowała jeszcze raz, lecz słowa więzły jej w ustach. Spuściła wzrok, ukryła twarz w dłoniach, z trudem wstrzymując łzy.

- Musimy porozmawiać, ale nie tu. - Rand chwycił jedną z pochodni, wziął dziewczynę za rękę i pociągnął do kościołka.

Annie jak przez mgłę usłyszała jeszcze szcęk repetowanej broni i stanowczy głos Sary Ross:

- Precz od studni. Woda należy do Annie Munro i już ja tego dopilnuję.

Ciężkie dębowe drzwi świątyni zamknęły za nimi się z trzaskiem, gdy Rand poprowadził Annie do rzędu ławek. Kazał jej usiąść, a sam zapalił pochodnią kościelne światła. Mrok ustąpił. Rand zgasił pochodnię i zajął miejsce naprzeciw dziewczyny. Milczał przez chwilę, a w jego niebieskich oczach zaiskrzyła stal.

- A więc, słucham...

Oczekiwał wyjaśnień i miał do tego pełne prawo, a w duszy Annie znów zabrzmiało echo słów Jake'a.

*Tylko nie kłam i nie oszukuj. Rand nienawidzi kłamstwa... Jestem pewien, że go zdobędziesz, i życzę ci, żeby Rand pokochał cię dla ciebie samej, żeby to była prawdziwa miłość, a nie rezultat szkockich zaklęć.*

- Najpiew muszę ci opowiedzieć o pierwszej wodzie - zaczęła cicho.

- Coś nowego? Studnia zatruta? Czy może ta wasza woda nie ma żadnej mocy, a ty po prostu mnie oszukałaś?

- Nie, nie oszukałam.

- A więc o co chodzi? Dlaczego nie dałaś mi wypić? Nie chcesz, aby koty przestały mnie prześladować?

- Ależ chcę i zapewniam cię, że woda zadziała, nawet jeśli sam zaczerpniesz z kubła.

~ Coś zaczyna się wyjaśniać. A więc po co ten cały cyrk, że to ty musisz mi podać?

Annie spuściła wzrok.

- Bo w rękach dziewczyny woda nabiera jeszcze innej mocy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Czuła suchość w gardle, serce jej biło tak, jakby miało wyskoczyć z piersi.

- Chciałam, żebyś mnie pokochał. Pierwsza woda mogła to sprawić - szepnęła.

- Nic nie rozumiem.

- Wedle naszych wierzeń, jeśli mężczyzna przyjmie łyk pierwszej wody z rąk dziewczyny w pierwszy dzień nowego roku, wtedy pokocha ją i poślubi. A ja bardzo chcę z tobą być, chcę pojechać do Teksasu jako twoja żona.

- Moja...?

- Żona - powtórzyła Annie ledwie słyszalnym głosem. - Chcę być twoją żoną. Chcę, żebyś mnie poślubił.

- Chcesz za mnie wyjść? - spytał Rand zdumiony do granic.

- Chcę.

- Wielkie nieba, dlaczego?

- Bo cię kocham.

- Kochasz? Mnie? - Rand zerwał się z miejsca i zaraz usiadł z powrotem. Przesunął dłonią po włosach, nabrał wielki haust powietrza, jakby to, co usłyszał, przygniotło go ciężarem nie do uniesienia. - Nie, Annie, to niemożliwe.

Jej serce, które jeszcze przed chwilą biło jak oszalałe, zamarło.

- Teraz wreszcie rozumiem - ciągnął Rand. - I strasznie mi przykro. Rozumiem, że chcesz stąd wyjechać, że lękasz się zostać, ale daję ci słowo, że ani Jake, ani ja nie pozwolimy cię skrzywdzić. W zamku będziesz bezpieczna, a potem pomyślimy o jakimś miejscu dla ciebie. Jeśli zaś nadal będziesz

chciała wyjechać do Teksasu, to po powrocie do domu rozejrzę się za czymś stosownym i dam ci znać.

- Jak tak nie chcę. Chcę być z tobą i niczego się nie boję. Kocham cię, Rand.

- Nie, słonko, to nie jest miłość, to po prostu pożądanie. Wiem o tym, bo i ja to czuję. Pragnę cię tak ogromnie, że nie miałbym odwagi wsiąść z tobą na statek. Nie zapanowałbym nad sobą, nie utrzymałbym zmysłów na wodzy. Znamy się parę ledwie dni, a to za mało, aby mówić o miłości. To nie serce, lecz zmysły przemawiają przez ciebie.

Annie z trudem nabrała powietrza. Szkoda, że nie jestem czarownicą - zamieniłabym go w żabę.

- Posłuchaj mnie - kontynuował Rand. - Szanuję cię i poważam. Jesteś wspaniałą kobietą i daję ci słowo, że gdybym miał kiedyś z kimś zostać na zawsze, to właśnie z tobą. Ale po tym wszystkim, co sobie powiedzieliśmy, najlepiej będzie, jeśli się rozejdziemy. Nie będzie łatwo, bo tak strasznie ciebie pragnę i wiem, że ty mnie też. Ale tak właśnie trzeba postąpić.

Słowa jak groty raniły jej serce. Jake Delaney nie miał racji. Mówiąc prawdę, pogrzebała wszystko i nigdy nie zdobędzie Randa. Gdyby skłamała przy studni, miałaby przynajmniej nadzieję, szansę, a tak wszystko przepadło. Jedno tylko było dobre, nie musiała już niczego ukrywać. Wstała z miejsca.

- Nie przypuszczałam, że mam do czynienia z tchórzem, ale myliłam się - powiedziała głośno. Pan się lęka, panie Jenkins, taka jest prawda, przepaja pana strach. Nie mnie, ale pana. Lęka się pan przekreślić przeszłość, boi się zacząć życie na nowo. Żal mi pana, panie Jenkins. Odrzuca pan miłość, odrzuca pan mnie.

- Ależ, Annie...

- Dość tego. Wracam do siebie. Niech pan się pokłoni w zamku ode mnie i nie zapomni węzełka z węglem, whisky i chlebem.

z dumnie podniesionym czołem Annie otworzyła kościelne wierzaje. Na progu kłębiło się co najmniej trzydzieści kotów.

- Nieprędko pan stąd wyjdzie - rzuciła za siebie. - Żegnam i życzę szczęśliwej podróży do Teksasu.

Koci tłum rozstał się przed nią jak morskie fale przed Mojżeszem. Rand chciał ruszyć jej śladem, ale koty zwarły szeregi, sycząc jak węże.

- Annie, poczekaj! - zawołał.

Nawet się nie odwróciła; przyspieszyła jeszcze kroku, zagłębiając się w mrok. Oczy miała pełne łez, więc nie rozpoznała, kto chwyta ją za ramię.

- Panno Munro, proszę niech się pani zatrzyma! - zawołała półgłosem Sara Ross, ona to bowiem czekała i wychynęła z ciemności. - Rand to...

- Głupiec. A ja nie mam cierpliwości dla takich typów - warknęła Annie.

- Saro, cieszę się, że mnie namówiłaś, żeby tu przyjść - rozległ się głos Jake'a Delaneya. - A teraz bądź tak dobra i zaprowadź Randa do zamku. Gillian bardzo zależy na pierwszym gościu, a do tego ten głupiec, mój przyjaciel, powinien się nadać. Ja odprowadzę Annie.

- Bardzo dziękuję. - Annie z wdzięcznością przyjęła propozycję. W noworoczną noc, gdy wokół pełno opilców, żadna kobieta nie może się czuć bezpiecznie.

Przez całą drogę szli w milczeniu, ale przed drzwami do chaty Jake przystanął i odchrząkując, oznajmił, że nie wejdzie do środka.

- Nie jestem przygotowany, aby wystąpić w roli pierwszego gościa - usprawiedliwił się. - I chciałbym jeszcze coś powiedzieć... Przykro mi, Annie, wiedziałem, że Rand jest uparty, ale nie sądziłem, że aż do tego stopnia. Jest nie tylko uparty, ale i głupi. Nie rezygnuj jednak. Daj mu trochę czasu, być może zmądrzeje.

- To już mnie nie obchodzi - odparła Annie słowami, które podpowiedziały jej pospołu urażona duma i złamane serce. - Tej nocy nie zapomnę nigdy. Czegoś się nauczyłam.

~ Czegóż to?

- Jest takie stare szkockie powiedzenie, że prawdziwa miłość nie lęka się niczego. Otóż, mój drogi Jake, dla mnie, od tej nocy, liczy się tylko prawdziwa miłość.

Ani jeden kot nie ruszył śladem Randa do zamku, co było naprawdę dziwne, bo jeszcze w kościele, gdy chciał pobiec za Annie, cała kocia gromada skłębiła się w drzwiach, nie pozwalając mu wyjść. Mruczały przy tym groźnie i stroszyły sierść jak, nie przymierzając, lwy, a nie zwykłe wiejskie myszołapy, ale wszystkie nagle zniknęły, gdy z Sarą ruszyli do zamku. Wszystkie, nawet ten czarny z zielonymi ślepiami, co tak bardzo przypominał Randowi Annie.

Rand szedł jak otepiały. Tłumaczył sobie, że to z zimna. W zamku wypełnił cały należny rytuał pierwszego gościa - wrzucił węgiel do kominka, położył chleb na stole i uczęstował wszystkich whisky, wznosząc toast, którego nauczył się od Annie - *Lang may yer hun reek*, niech długo płonie wasz kominek ~ oznaczający życzenia długich lat życia dla wszystkich domowników. Zaraz potem zaczęła się tradycyjna biesiada, goście bawili się wesoło, a Randa ogarniała coraz większa melancholia.

Wyszedł ukradkiem z sali biesiadnej i zaszył się na ławce w korytarzu, co wszakże nie umknęło uwagi Sary Ross. Poszła za nim, uzbrojona w szklanekę whisky.

- Chcesz porozmawiać? - Przysiadła się do niego, upiła łyk trunku, a resztę oddała Randowi.

- Jak to się stało, że znalazłaś się we wsi? - spytał.

- Jake powiedział nam, co Annie zamierza. Poszłam z ciekawości.

Rand popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Po pierwsze interesują mnie szkockie obyczaje i wierzenia, a po wtóre, zajmuję się zawodowo kojarzeniem małżeństw i kto wie, może wiedza o pierwszej wodzie kiedyś mi się przyda. Ale szczerze mówiąc, fascynowało mnie coś innego. Jake bardzo przekonująco opowiadał, jak patrzysz na Annie, chciałam więc zobaczyć, co się stanie przy studni...

Rand zdawał sobie sprawę, że czyni źle, ale nie wytrzymał i postawił pytanie:

- Niby jak na nią patrzyłem?

- Jake powiedział, że wodzisz za nią oczami jak za duchem.

Wbił wzrok w bursztynową zawartość pucharu, jakby nagle w nim właśnie objawiła się zjawa, a może lęki, o których mówiła Annie. Czy był tchórzem? Czy przepajał go lęk przed przyszłością? Czyżby Annie odkryła tajemnicę, której istnienia sam nie podejrzewał? Potrząsnął pucharkiem, wprawiając zawartość w kolisty ruch. Krople zatańczyły na ściankach, a pośrodku utworzył się wir i Randowi nagle wydało się, że tonie, że kotłujący się płyn wciąga go w bursztynową czeluść.

- Powiedz mi, Saro, co się robi, gdy sięga się dna?

- Dna? Jakiego dna?

- No, dna, w ogóle... gdy mróz przechodzi cię po krzyżu, studzi serce i ogarnia duszę?

- O czym ty mówisz, Rand?

- Powiem ci, co się robi. - Wypił zawartość szklanki jednym haustem i odstawił ją z impetem na ławkę. - Otóż trzeba wtedy udać się do czarownicy, bo tylko ona może okiełzać zjawy.

Słońce lśniło na bezchmurnym niebie, promienie igrały w kryształkach lodu i śniegu, złocąc całą okolicę aż po horyzont. Annie stała w oknie z dymiącą filiżanką herbaty i patrząc na

zamykające widnokrąg wzgórze, rozmyślała o wydarzeniach ostatnich dni.

Czuła się zmęczona na ciele i obolała na duszy. Kiedy wróciła nocą do domu, nie mogła zasnąć, a gdy już zapadała w sen, budziła się co chwila i choć dziś wstała późno, nie wypoczęła. Patrząc na wzgórze, miała wrażenie, że przytłaczają ją swoim ciężarem.

Rozmyślała nad przyszłością. Co począć, jak postąpić?

Nie chciała korzystać z pomocy Randa i Delaneyów. Była na to za dumna, ale - i nad tym właśnie rozmyślała - czy za dumę nie przyjdzie jej zapłacić zbyt wysokiej ceny. Jeśli odrzuci pomoc, zostanie tu sama wystawiona na niechęć sąsiadów i ryzyko, że nadejdzie dzień, kiedy puszcza tamy nienawiści i przesądów.

Ale to nie wszystko. Co ze zranionym sercem? Kiedy, i czy w ogóle, zdoła wymazać z serca i pamięci Randa Jenkinsa? Może nigdy, a może rozpacz zamieni się w nienawiść. Paradoksalnie dostrzegła w tym iskierkę nadziei. Nienawiść lepsza od goryczy. Nie będzie do końca życia nurzać się w żalu i rozpaczając z powodu nieodwzajemnionej miłości.

- Niedwzajemniona miłość - szepnęła, odchodząc od okna. Jak żałośnie te słowa brzmią. Nie, nie będzie żałować, nie będzie rozpaczając ani się nad sobą litować. - Zakonotuj to sobie, Annie Munro - rzuciła głośniej - mężczyzna, który lekce sobie waży dar miłości, nie jest mężczyzną, o jakim myślałaś. I nie żałuj, bo zasługujesz na więcej.

Powiedziała to tak stanowczym tonem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć. Chciała w ten sposób przekonać samą siebie. Zdecydowała się także skorzystać z pomocy Randa, na jego warunkach i w wyznaczonych przez niego granicach.

- Chowamy dumę do kieszeni - oznajmiła Północce. - Nie będziemy tu zostawać i nie będziemy rozpaczając. Jutro jedziemy do zamku.

Słyszając pukanie do drzwi, które wdarło się w ciszę domostwa godzinę później, zaczęła się zastanawiać, czy nie zrobiła błędu, odkładając wyjazd. Zdjął ją lęk.

- Nikogo nie przyjmę! - zawołała przez drzwi. - Już nie lecę. Idźcie do akuszerki, ona też umie leczyć

Ale pukanie rozległo się ponownie.

- Nikogo nie wpuszczam, idźcie precz! - krzyknęła, robiąc przy tym złą minę.

Znowu ktoś zakołatał.

Annie stanęła w miejscu, postanawiając przeczekać intruza. Ale natręt, kimkolwiek był, też nie dawał za wygraną. Zastukał jeszcze bardziej natarczywie.

- Dość tego! - zawołała Annie półgłosem. Uzbroiła się w żeliwną patelnię, w sam raz do ogłuszenia napastnika, gdyby zaszła taka potrzeba, podeszła cicho do drzwi i mocnym pchnięciem otworzyła je na oścież.

- Mówiłam... - zaczęła podniesionym głosem i równie szybko zamilkła. Patełnia wypadła jej z ręki. Rand!

Stał w progu, dzwigając wielki kosz sposobny na piknik. Nie odezwał się słowem i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Gdy przechodził obok niej, poczuła woń korzeni. On tymczasem, nadal bez słowa, podszedł do kominka, dobył z kieszeni kawałek węgla i podrzucił do ognia. Zaraz potem postawił kosz na stole.

Annie odchrząknęła, chcąc coś powiedzieć, ale nie dała rady. Słowa więzły jej w gardle, a serce biło jak oszalałe.

Rand wyjął z koszyka bochen chleba, który położył na stole, następnie butelkę whisky. Dopiero wtedy do Annie dotarło, że oto przybył z tradycyjnymi darami pierwszego gościa.

Ale nie tylko, bo oto, dobyty z koszyka, stanął na stole mały, dymiący apetycznie saganek. Z niego to roztaczała się korzenna woń. Obok zaś Rand położył jedwabny wachlarz - atrybut damy z towarzystwa - i mniejszą niż poprzednia butelkę z bur-



sztynowym płynem. Napełnił z niej dwie szklanki, do których wrzucił parę kostek lodu. Spełniwszy te czynności, wziął do ręki pierwszą butelkę i wreszcie przemówił:

- Szczęśliwego nowego roku, Annie, i wielu następnych. Czy jestem pierwszym?

- Pierwszym gościem? Tak.

- To bardzo dobrze. - Odkorkował butelkę i wypił spory łyk. - To bardzo dobrze - powtórzył - bo to wroży szczęście, a będę go dziś potrzebował, więc... - Nabrał potężny haust powietrza, wypuścił, podniósł lewą nogę. - To było na pierwszą nogę, a na drugą mamy coś po teksasku. - Wziął ze stołu dymiący saganek i podał go Annie. - Chili - oznajmił, wachając z apetytem - wedle przepisu siostry Jake' a. Trzeba ci wiedzieć, że chili to nasze tradycyjne danie i szczerze mówiąc, lepsze niż wasz noworoczny bochen chleba.

- Pachnie wspaniale.

- Mówiłem, według przepisu Chrissy. A to - wziął do ręki wachalarz - to zastępuje u nas wasz kawałek węgla. Przekonasz się zresztą, że u nas nie myśli się, jak się ogrzać, ale przeciwnie: jak się ochłodzić. A teraz spróbuj naszego trunku. Nie mam nic przeciwko szkockiej whisky, ale nasz bourbon też nie jest zły. Spróbuj.

- Smakuje jak mrożona herbata. - Skrzywiła się.

- Ale jest znakomity na upały.

- Bardzo cię przepraszam - Annie energicznie odstawiła szklankę na stół - ale nie jestem w najlepszej formie, więc powiedz mi bez owijania w bawełnę, o co chodzi.

- Chili, wachalarz i bourbon, noworoczne dary po teksasku.

-Bardzo to miłe - podziękowała, ale bez uśmiechu.

- Widzę, że nie rozumiesz! - zawołał Rand, wznosząc oczy, jakby błagał niebiosa o litość dla nierozgarniętej kobiety. - Przyniosłem podwójne dary, licząc na podwójne szczęście, bo, jak mówiłem, będzie mi bardzo potrzebne. Za chwilę padnę

na twarz i będę się czołgał u twoich stóp. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w tej mierze, więc błagam o wyrozumiałość.

- Będziesz co?

- Czołgał się u twoich stóp, co zresztą trochę potrwa...

- Nie ma pośpiechu. - Machnęła ręką, szukając wzrokiem oparcia. Musiała natychmiast usiąść, bo czuła, że nie da rady ustać na nogach. Rand Jenkins zamierzał się czołgać u jej stóp. Cóż to za przedstawienie?

- Nie ułatwiasz mi zadania - mruknął i odchrząknął głośno. - Niech i tak będzie. Zaczynamy. Uczęstowałaś mnie wczoraj mocnymi słowami, Annie, sądzę więc, że dobrze będzie, jeśli ja z kolei powiem ci parę słów o nas, Tekszańczykach. Otóż nie bardzo nam się podoba, gdy ktoś zarzuca nam tchórzostwo, zwłaszcza zaś wtedy, kiedy ów ktoś ma rację; to po pierwsze. Po wtóre, powiedziałaś, żebym się dobrze sobie przyjrzał, i tak też zrobiłem. Nie powiem, że to, co zobaczyłem, napawa mnie zachwytem. Niestety, stwierdziłem, że rzeczywiście jestem podszyty tchórzem, a co gorsza, tchórzostwo sięga nawet serca.

Na dźwięk tego słowa Annie serce podeszło do gardła.

- To jednak wszakże nie wszystko, bo nie we wszystkim miałaś rację. To nie jest tak, moja droga, że lękam się odciąć od przeszłości. Co to, to nie. Kochałem żonę i bardzo przez nią cierpiałem, ale też doszedłem wreszcie do tego, że trzeba z tym raz na zawsze skończyć. Nie może być tak, że dawny ból wyklucza dzisiejszą miłość.

- A nie wyklucza?

Nie odpowiedział wprost.

- Chodzi mi o to, że pielęgnując w sobie ból, wciąż pozostawałem w jej władzy. A tak dalej być nie może. Dość tego. Tej kobiety nie ma już w moim życiu, więc jakże mogę pozwalać, by nadal mną władała. Z tym koniec, ale to jeszcze nie wszystko, co pragnę powiedzieć.

- Słucham.
- To nieprawda, że przez tamtą kobietę lękam się miłości. Nie, tego mi nie odebrała. Dopuszczała się czegoś znacznie gorszego...
- Gorszego? - Annie spojrzała oczami wielkimi jak spodki.
- Obrabowała mnie z marzeń. Wyzuła z marzeń o domu, rodzinie, przepoiła chłodem, mrozem, który wędruje po krzyżu.
- A chciałbyś mieć dom i rodzinę? - spytała Annie cicho, jakby w obawie, że iskierka nadziei, która zatliła w jej sercu, może nagle zgasnąć.
- Zawsze chciałem - odparł i zamilkł. - Ciężko o tym mówić - odezwał się po chwili - ale chcę, żebyś wiedziała wszystko. Otóż jeszcze przed rozwodem moja żona miała dziecko z kochankiem, a ja... ja im tak strasznie zazdrościłem. Mogę powiedzieć, że zieleniałem z zazdrości i czerwieniałem z gniewu. Ale całkiem niedawno odkryłem w sobie jeszcze jedną barwę, błękitną...
- Błękitną...?
- Błękit to kolor miłości. Kocham, cię Annie.
- Iskra, która przed chwilą ledwie się tliła, rozgorzała płomieniem.
- Ty... mnie...
- Ujął jej twarz i spojrzał prosto w oczy. Trwał tak chwilę, po czym uklęknął na jedno kolano.
- Mówiłem o żądzy i pragnieniu, ale w głębi duszy wiedziałem, że chodzi o coś więcej. Kocham cię, Annie, i proszę, żebyś została moją żoną.
- Przymknęła oczy jakby z lęku, że marzenie, które oto doczekało się spełnienia, rozwieje się jak mgła nad wiosennymi wrzosowiskami.
- Jesteś pewien?
- Najzupełniej. Nie sądziłem, że zdarzy się to tak szybko. Powiem więcej, nie sądziłem, że w ogóle zdołam się kiedyś

zakochać, że mróz przestanie mi chodzić po krzyżu - dodał zdanie, które jakby na stałe zagościło w ich słowniku. - Tymczasem przyjąłś mnie, gdy zjawiłem się tu przemarznięty na kość. Nastałaś w moim życiu jak najcieplejszy tartan i wełniane skarpety.

- Wełniane... - Zachichotała, rozbawiona do łez. - Muszę przyznać, że to najbardziej romantyczne wyznanie, o jakim słyszałam.

- Bardzo cię przepraszam, ale nie panuję nad słowami... - W jego oczach zapaliły się figlarne iskierki. Nad rękami też nie! - zwołał, przygarniać ją do siebie.

Nie wzbraniała się. Przymknęła oczy, podając usta do pocałunku. Pragnęła jego ust, pragnęła go całego.

Minęła chwila.

Nawet jej nie musnął wargami.

Rozczarowana, otworzyła oczy. Niech go piekło pochłonie!

- Doczekałeś się, zaraz rzucę na ciebie czary.

- Nie trudź się, jestem zaczarowany, oczarowany i w ogóle. Nie czarów mi trzeba, ale słów. Odezwij się wreszcie, ty mała czarownico.

Zrozumiała i uśmiechnęła się radośnie jak wiosna.

- Kocham cię, Rand, i zostanę twoją żoną.

- A więc załatwione! - zawołał głosem tak radosnym jak jej uśmiech. Porwał ją w ramiona, zamknął usta pocałunkiem i zaniósł na łóżko. Wtuleni w siebie, zaczęli odkrywać wszystkie sekrety oczarowania, wszystkie tajemnice miłości i wszystkie radości życia we dwoje.

Północka mruczała z wyraźnym zadowoleniem, wspinając się po ścianie chaty na dach. Umościła się wygodnie na samym szczycie strzechy i wydała głośny pisk. Po chwili na dachu zaczęło się kłębić od kotów wszelkiej maści i wieku. Ktoś, kto

uważnie przyglądałby się tej scenie, musiałyby zauważyć, że w kocim wiecu biorą udział wyłącznie kotki.

Gdy już wszystkie przysiadły w kręgu, Północka stanęła na tylnych łapkach, przednie wyciągnęła przed siebie i miauknęła przeciągle, jakby wznosząc pieśń, a ta miała magiczną moc, bo oto ze zwierzęcia zaczęła się wyłaniać postać pięknej kobiety o kruczoczarnych włosach.

Zaraz po niej wszystkie pozostałe uczestniczki sabatu zrzuciły kocie maski.

- A więc - zaczęła Północka, znana kiedyś mieszkańcom tych okolic pod imieniem Elseph Munro - dzieło skończone. Moja córka zdobyła jego serce.

- A miałaś choć przez chwilę jakieś wątpliwości? - wtrąciła jej siostra, Tabitha Munro, która w kocim wcieleniu udanie więziła Randa Jenkinsa.

- No cóż, był bardzo uparty - rzuciła któraś z kobiet.

- To prawda - zgodziła się Tabitha. - Ale tym lepiej - dodała. - Annie też jest uparta jak osioł. Pamiętajcie, jak uparcie odcina się od nas wszystkich. „Nie jestem czarownicą”, powtarza bez przerwy. Strasznie mnie to irytuje, ale też bardzo będzie mi jej brakować.

- Co zrobić, jej wybór - padło z dalszych szeregów.

- Właśnie. - Tabitha westchnęła. - I co teraz? - Spojrzała wymownie na Elspeth? - Dzieło skończone?

- Na razie - mama Annie uśmiechnęła się tajemniczo - ale poczekamy. Przecież oni tu wrócą, a wtedy trzeba będzie zadbać o wnuczki.